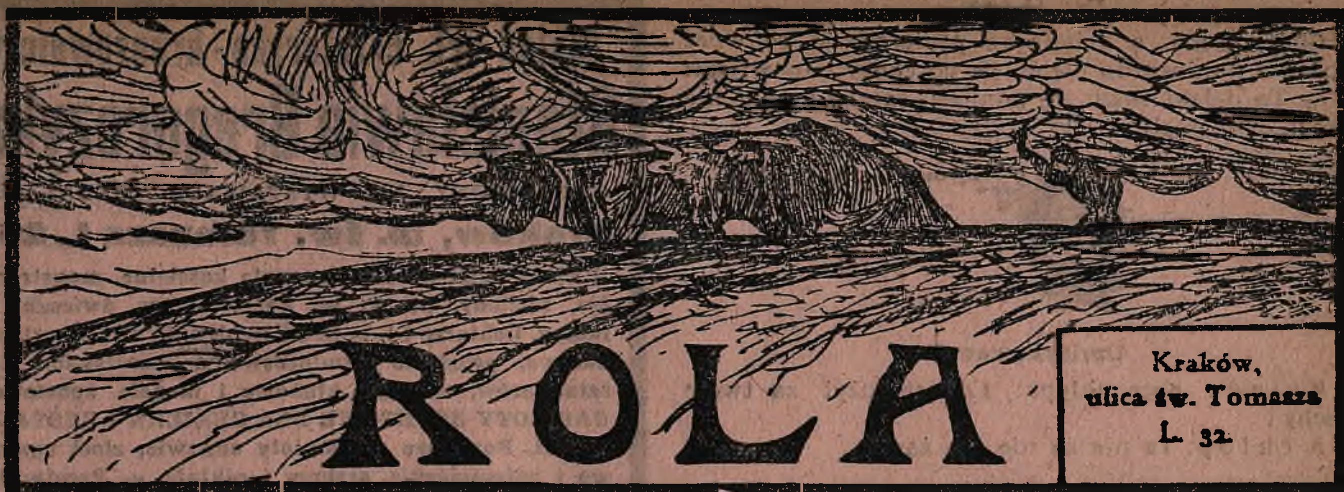
Numer 24. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 14 Czerwca 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

„Zemsta cygana“

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzycz.

Zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Bez obawy.

Chory kona, a ksiądz go pociesza, że go wnet aniołowie poniosą do nieba, na co chory odpowiada:

— To dzięki Bogu, że poniosą, sambym tam nie zaszedł, bom słaby.



Umiarkowany.

Ksiądz pyta chłopa: Coś zasłużył za twoje grzechy?

A chłop: Ja nic za nie nie żądam.



Na katechizacji.

Ksiądz do panny młodej na nauce przedślubnej:

— Ile jest Bogów?

— Jeden.

— A ile osób?

— Tak z muzykantami będzie trzydzieści.



Zagalopował się.

— I czemu ty się nie żenisz, Moszku?

— Mój Abrum... jakoś nimam odwagi.



Nasze gosposie.

— Kasiu! podobno nasza kura wysiedziała bardzo wiele kurcząt?

— Tak, proszę pani.

— Ile?

— Szesnaście.

— To każ zaraz kucharce mleka zagrzać.

— A na co, proszę pani?

— No przecież jedna kura tyle kurcząt nie wykarmi.



Dwie różne przyczyny, jeden skutek.

Odwiedzałem niedawno szpital warjatów. Uprzejmy dyrektor zakładu oprowadzał mię po celach i udzielał mi różnych wyjaśnień.

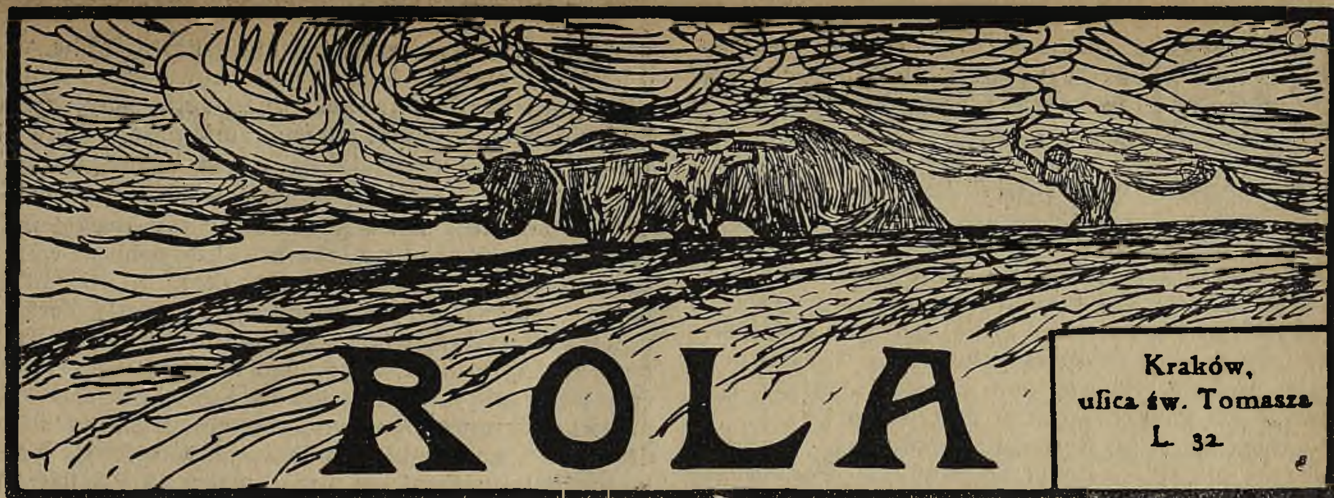
— Dlaczego ten młodzieniec — zapytałem — ten właśnie, co patrzy nieruchomo w jeden punkt, dostał się do klatki warjatów?

— Dostał kosza od panny, no i...

— Aha, rozumiem, zbzikował. A ten, co głową o ścianę tłucze w tej celi obok?

— Ten, proszę pana, ożenił się z ową panną, która tamtemu dała kosza...

Numer 24. **Rok XIV.** **Kraków, dnia 14 czerwca 1931.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.381 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Mąciciele.

Do najbardziej rozpowszechnionych indywiduów w naszem społeczeństwie należą tak zwani mąciciele. Zdawałoby się, że jedynym celem ich życia jest zamącenie tego, co trwa spokojnie, wzniecenie niepokoju w własnej rodzinie, w wiosce rodzinnej, w powiecie, a jeżeli wpływy ich sięgają dalej, to i w kraju całym. Stawiają oni sobie niejako za cel swego życia mącenie wszystkiego, co tylko dać się zamącić może.

Przedewszystkiem w domu. Taki mąciciel będzie się czepiał lada drobnostki, aby uprzykrzyć życie żonie własnej, dzieciom, czy służbie. Chwyta on z prawdziwą radością każdą sposobność, aby zburczeć tego lub owego za rzekome przewinienia, o których sam dobrze wie, że nie są przewinieniami, a jeżeliby nawet niemi były, to nie zbada ich powodów, gdyż zbadawszy, nie mógłby zamącić spokoju domowego. Taki mąciciel z lubością chwyta wszelkie bajeczki, tyczące się tej lub owej osoby w rodzinie, aby, przyprawiwszy je własnym sosem, mógł pod strzechą rodzinną na swój sposób zużytkować.

Wieś dla mąciciela jest szerszem polem do popisu. Chwyta on każdą intrygę przeciw sąsiadowi lub sąsiadce, rozdmuchuje ją do niebywałych rozmiarów i z lubością w świat puszcza. Mąciciel ani na chwilę nie pomyśli, ilu on łez, jakiej rozpaczy bywa nieraz sprawcą. Owszem, im bardziej zdoła zamącić spokój wsi, tem zadowolenie jego bywa większe. — A przecież we wsi o sposobność zamącenia spokoju nie trudno. Komuś tam ukradli kurę, czy inny drobiazg, mąciciel ma już sposobność, aby rzucić podejrzenie to na tego, to na owego, a im więcej rzuci podejrzeń, tem zamęt będzie większy i zadowolenie jego większe. Obrzuci jeden drugiego jakiemś przezwiskiem pozaocznie, mąciciel natychmiast biegnie z donosem do interesowanego, namawia do skargi, ofiaruje się na świadka. A gdy osiągnie zamierzony cel, zadowolenie jego jest zupełne.

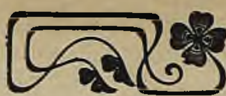
Na terenie państwowym zawodowy mąciciel sam siebie nazywa politykiem i za takiego pragnie uchodzić wśród społeczeństwa. Jeżeli jest zwykłym śmiertelnikiem, to przynajmniej na wiecu w jakiejś Pipidówce, zwołanym przez drugiego polityka - mąciciela, zabiera z lubością głos, aby choć trochę zamącić spokój wśród swoich najbliższych sąsiadów. Mąciciel taki po największej części nie rozumie się na rzeczy, ale gada, aby gadać, aby mącić, bo spodziewa się, że w mętnej wodzie najłatwiej jakąś rybkę ułowi. — Mniejsza z tem, że czyni innym nieuzasadnione zarzuty, on mąci, aby tylko mącić, przyczem spodziewa się, że tam ktoś, słuchający bezkrytycznie jego wywodów, uzna go za mędrca.

A jeżeli pisać umie! Wszak są gazetki, które mąceniem się trudnią. Chwyta więc za pióro i smaruje notatkę, najczęściej oczerniając zupełnie niewinnych ludzi.

To są jednak tylko mali mąciciele, którzy wyrządzają wprawdzie duże szkody, lecz w małem kółku. Są jednak więksi, którzy wyrządzają niepowetowane szkody całemu państwu, całemu społeczeństwu. Są nimi politycy zawodowi, którzy wszystko, co się dzieje, starają się przedstawić pod własnym kątem widzenia. Jeśli coś źle się dzieje, oni przedstawiają to w gorszem jeszcze świetle, nie wgłębiając się nigdy w rzeczywiste powody tego zła, unikając stwierdzenia, że to zło powstało wbrew woli ludzkiej, że zostało spowodowane siłą wyższą.

Gdyby chcieli zbadać powody, nie mieliby nieraz powodu do mącenia. Ale właśnie nie o to im chodzi.

Gdyby zapanował zupełny spokój na świecie, oni chybaby z nudów umarli.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Pan rotmistrz westchnął i wywołał w pamięci obraz Admy.

Adme... Halszka... Adme...

Na wspomnienie pierwszej pali się krew, na myśl o drugiej jakaś cisza niebiańska rodzi się w sercu; tamta na chwilę, a ta na życie całe przygodzi się; tamtę zmysłami, a tę duszą całą miłuje. Czarne oczy znikają, znikają... patrzą jeno źrenice błękitne, rozmiłowane na śmierć w panu rotmistrzu.

— Boga mi, że już koronki nie potrzeba — szepnął. Ale djabeł nie śpi — dodał po chwili. — Pomódl się jeszcze niedziel parę Halszko Jaszczołdówno.

Mitras...

Brrr...

— Teścia takiego w łapę nie pocałuję; łokciem czuć będzie zawżdy...

I murowany dworzec Mitrasów precz zniknął, rósł tylko w bezmiar zamek żółkiewski, tylko Halszka Jaszczołdówna jedna, jedyna stała już przed nim.

— Wasza miłość! — dał się głos słyszeć tuż nad nim.

Plichta drgnął i zbudził się ze snu.

— Co tam? — odezwał się.

Przed rotmistrzem stał jeden z towarzyszy.

— Słyszycie, wasza miłość!... gwar, wrzawa i łoskot, jakby cepy młóciły.

Plichta na równe nogi się zerwał i słuchał.

Jakieś szmery głuche i zgrzyty wypełniły jar cały. stłumiony bieg grzmot i dygotanie okrutne, niby od klepiska, na którem cepy walą. Nagle dał się słyszeć tentent gwałtownie pędzonych koni — to podjazd powracał z wiadomością o boju pana Szymona z Tatarami.

— Na koń — huknął Plichta.

Szereg wyrównał się.

— Marsz!...

Ruszyli stępa.

— W lot konie!

Pomknęli jak wicher.

Ujechali staj kilkadziesiąt — jar się rozszerzył, wyrównał i osrebrzył blaskiem wyzierającego z za wądołów księżyca. Na rozległej polanie panował jakiś zamęt i kotłowanie okrutne. Orli wzrok Plichty dostrzegł „ptaszeczków“ Kopycińskiego, otoczonych ze wszech stron przez chmarę tatarstwa. Znać było odrazu, że napad dokonany był niespodziewanie, że umykający pohańce wprowadzili w zasadzkę „Lacha-Stracha“, że oskoczono go zewsząd tak szybko, iż ani w uczciwy szereg oddział jego nie mógł się sformować, ani rozpędu nabrać, by przeprzeć szarańczę oną.

Bój był śmiertelny i okupiony już setką głów tatarskich; okropny mord niosły rohatyny i pałki w straszliwych łapach ptaszków Kopycińskiego. Krew potokami płynęła, a baranie czapki bisurmanów unosiły się w powietrzu, niby rój czarnych motyli. Powietrze drgało od klekotu, ale jęków i rzeżeń konania słychać nie było, bo śmierć przychodziła nagle, a gdzie topór zabłysnął, rohatyna się wdarła, pałka zamigotała, tam padał trup, usuwał się kadłub bez głowy, lub zmiażdżone czerepy chwiały się chwilę na ruchomych karkach końskich.

Świadkiem onego boju był sam Kantemir. Wzrostem niemal panu Szymonowi równy, o twarzy jeno ohydnej, porośniętej zarostem rzadkim lecz skołtunionym, oczy skośne, nabrzmiałe krwią miał, wpadnięty nos, wystające kości policzkowe, które świeciły odbijając światło miesiąca; duże, żółte zęby zgrzytały, a z gardła wybiegał charkot zmieniający się w słowa rozkazu, które gnały na śmierć i niosły śmierć.

Drogo „Lach-Strach“ sprzedawał życie swoje. — Trupy ludzkie i końskie zawalały mu drogę, przed nim szło przerażenie blade i waliło pohańców niby zaraza morowa. Ale z załomów skał, z rozpadlisk, wyrw i żwiszarów ciemnych, wyskakiwały coraz to nowe kupy tatarstwa, jakby ziemia żygała niemi — i na groźny rozkaz obojętnego na krew murzy, rzucały się w zbity tłum ptaszków Kopycińskiego. Masa przeważała męstwo; w zmęczonych straszliwą robotą dłoniach coraz słabiej uderzały rohatyny, suchy trzask pałek stawał się mniej groźny, a i w dźwięku głosu pana Szymona znać było niemiłosierne zmęczenie, czuć było pracę płuc, ostatni wysiłek broniącego się życia.

— Dziobcie, ptaszeczki! Pan Jezus miłosierny wynagrodzi fatygę waszą. — wołał zaledwie dosłyszanym już głosem.

I ptaszeczki dziobały straszliwie, ale już jeden, drugi, trzeci padł... Szereg się przerzedzał, a głośne, zwycięskie: „Ałła!“ brzmiało dokoła.

Nagle koń Kopycińskiego zdębił się i łbem w ziemię zarył.

Tatarstwo wrzasło i jak szarańcza snop zboża, tak ona pogańska czerń pokryła bohatera.

Pan Szymon jednak dźwignął się, wstrząsnął — i Tatarzy, jak plugawe robactwo, odpadli od niego, a on rozpoczął bój na pięście.

I znowu przerażenie ogarnęło pohańców. Zdawało się im, iż mocą czarnoksięską ów „Lach-Strach“ w jakiegoś potwornego pająka się przemienił i pięciopalce łapy wyciągając przed siebie, oplatywał niemi, porywał, dusił, dławił i miażdżył. Chrupały kości, pękały czerepy, charczały gardła, z rozbitych szczęk wylatywały zęby, z piersi wgniecionych chlupała krew... W przerażonych umysłach Tatarów „Lach-Strach“ w wielkoluda urastał w nadprzyrodzony dziw jakiś, w uosobionego demona śmierci. — Sam Kantemir, stojący na wzniesieniu, patrzał ze zgrozą zdumienia. Wachlowały mu nozdrza, oczy wychodziły na wierzch, pięściami o kolana bił i od czasu do czasu podnosząc oczy ku niebu, mruczał ochrypłym głosem wściekły:

— Ałłach!... Wielki Ałłach!... daj mi tego Lacha za niepokój, jaki w tej chwili przeżywam. Na pal go wbiję, skórę z niego zedrę, omotam słomą i smołą obleję, by jako świeca płonął przed tronem wszechmocności twojej!... Daj mi tego Lacha, a najpiękniejszą hurysę, jaką w seraju mam, utopić rozkażę w cysternie Bakczyserajowych ogrodów.

Tak modlił się Kantemir.

Ale „Lach-Strach“ nie poddawał się. Na mogile trupów stał, oblany krwią cały, wielki, potężny i przed tron Ałłacha posyłał coraz więcej wyznawców jego.

Kantemir porwał się — z warg jego wypadł bełkot jakiś do gromu podobny.

Skinął.

I oto zafurczały arkany; w powietrzu jak wężepadalce, powrozy zamigotały — i „Lach-Strach“ pętlicą zduszony na ziemię się zsunął.

— Ałła! — zabrzmiało w krąg.

— Akbar-Ałłach! — zawołał Kantemir.

Dzikie wrzaski, piski, i wycia prześwidrowały powietrze i czarna szarańcza pokryła dygocące ciało pana Szymona.

Wtem burza jakaś uderzyła w ono mrowisko Tatarów.

To Plichta runął.

Potężne, a niespodziewane natarcie zmięszało szyki wojsk Kantemirowych. Zabrzmiał przerażenia krzyk, trwoga i popłoch... Naprożno murza miotał się, ryczał i grzmiał, naprożno rozpruwał jataganem piersi uciekających: fala Tatarów odrzucona kopiami polskiemi, skłębiła się, zburzyła i tył podała sromotnie, unosząc Kantemira wraz z sobą. „Krwawy Miecz" ujść musiał, lecz dostrzegł Plichtę... Rycerz polski utkwił mu w oczach, jak gorąca plama zabijającego podczas żarów sierpniowych słońca. Nie zetrze jej już płachtą żadną, żadną wodą nie zmyje — powracać będzie wciąż i przypomnienia jadem żrącym mózg mu wysuszać.

Kantemir zapamiętał Plichtę.

Porwany, umykać musiał, choć palił go srom, ale rozhukanego rumaka powstrzymać nie mógł, którego gnała burza rozhulanych kopij polskich, parły tłumy uciekającego bez pamięci tatarstwa, krzyk trwogi i sapanie zdyszanych piersi, w bezładnym popłochu pierzchających koni.

— Niech cię chroni twój Bóg, byś w ręce moje popadł, Lachu przeklęty! — zawołał.

A Lach przeklęty siedział na karkach pohańców i rąbał i kłół i mordował.

Krwawy pościg trwał krótko. W wądołach i jarach ciemnych tatarstwo znikło i gdy Plichta zatrzymał się, słyszał tylko szmer uchodzących, coraz cichsze dudnienie ziemi, szelest, jakby wiatr ulatywał... dalej, dalej i dalej... Już tylko echa grzmią omdlewającym kopyt tętentem — i wszystko zcichło, znikło — powróciła dawna, niczem niezamącona cisza.

Doświadczony żołnierz, jakim był pan Plichta, wiedział, że tatarzy nie zwykli z drogi nawracać; że o niejedną milę się odsadzą, zanim opamiętanie ich powstrzyma. Zresztą pogrom był straszliwy, o czem świadczyły trupy gęsto usiane i wartko płynące struminie krwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Serce mężczyzny.

II.

Był dzień, w którym Cyla obchodziła jakieś „imieniny"... Od rana biegała po mieście, skupywała przeróżne specjały i zastawiała stół... Wieczorem zaczęli się schodzić goście... Przyszli przeważnie akademicy i to sami mężczyźni, ani jednej wśród nich nie było kobiety... Zosia czuła się niedobrze w tem czysto męskiem towarzystwie, wymknęła się niespostrzeżenie z pokoju i przyszła do mnie. Poszliśmy we dwójkę na planty. Siedzieliśmy długo, długo na ławeczce parkowej... Zosienka była w jakimś dziwnym dzisiaj nastroju, prosiła mnie, bym jej opowiadał baśnie i legendy z Tatr i Beskidu, więc prawiłem jej o ziemi skalnej Przerwy-Tetmajera i Orkana. Słuchała cicho moich opowieści... Jej szare oczy zdały się dzisiaj palić ognikami, a na licach jej wykwitł blady, ledwie znaczny rumieniec. Była jakaś ożywiona, trochę, zdaje mi się, nawet wesoła... Gdy skończyłem, odczytywała mi swój najnowszy wiersz p. t. „Pożegnanie Świata...", który nazwała swym ostatnim wierszem... Lekko drżącym ze wzruszenia głosikiem recytowała:

Odchodzę już — słyszysz — odchodzę już...
Choć dziś tak pachnie świat zapachem róż,
Choć na lazurze nieba wiosenne słońce płonie
I w sadach rozbudzonych kwitną dziś jabłonie
Odchodzę w niepowrotną dal, —
Choć mi tak bardzo Ciebie i życia żal...
Odchodzę już... Słyszysz? Odchodzę już...
Życie mi wbiło w serce ostry nóż,
Nie dało śnić i szczęścia zaznać, nie!
Tyle jeno mam, com przemarzyła w śnie!...
I przebłądziła z Tobą szlakiem gwiezdnym hal —
Odejdę ja, odejdę w niepowrotną dal...

Czytała Ziąsienka swój ostatni wiersz, a jej i mnie łzy się sączyły z oczu... Nie czuliśmy zupełnie upojnej woni parku, nie słyszeliśmy ptaszęcych chórów, nie rozumieli, nie mogli zrozumieć, że przecież na świecie wiosna... W naszej duszy jesienne szumiały wichry, kończące się zawcześnie życie grało swą pieśń-skargę...

Gdy późnym wieczorem powróciliśmy do domu, zastaliśmy w pokoju Cyli rozpitą do nieprzytomności złotą młodzież. Na otomanie, na podłodze, pod stołkami i stołami leżeli zupełnie nieprzytomni studenci.

...A na środku pokoju, na miejscu sprzątniętego stołu, na rozesłanym dywanie, ledwo dotykając bosemi nóżkami podłogi... tańczyła jakiś taniec „zmysłów" zupełnie naga Cyla. Młodzi ludzie bili oklaski, krzyczeli niemożliwie głośno „bis" i coś tam bełkotali pijackim, chrapliwym głosem.

Cyla w swym tańcu wyglądała cudownie... Jej przepiękne złociste włosy opadające gęstemi puklami na śnieżnej białości ramiona, rozwichrzone fantazyjnie w szalonym, zmysłowym jej tańcu, gibkie, jak u urodzonej cyrkówki i śliczne jak świeżo rozkwitający kwiat ciało, jędrne, podobne do dwóch wielkich, mięsistych jabłek jej panieńskie piersi, smukłe o prześlicznej linji, jakby wykute w białym marmurze ręce i nogi, łabędzia szyja, czerwone, karminowe usta, czarne, jak bezdenna głębia źrenice, — wszystko to tworzyło prześliczny i przewdzięczny obrazek, od którego naprawdę trudno było oderwać oczu...

Gdyśmy weszli ze Zosią, spojrzała na nas drwiąco, jakgdyby z pogardą... i tańczyła dalej. Z mężczyzn jakoś nikt nie zwrócił na nas uwagi... Zapatrzyłem się mimowoli w tą nagą, w bezwstydnie tańczącą dziewczynę, lecz Zosienka ze zimną krwią i z jakimś wstrętem cofnęła się ku drzwiom z powrotem, pociągając mnie za sobą... Nim zdołałem ochłonąć z wrażenia, co jak wino uderzyło mi do głowy, byłem już z Zośką z powrotem w naszym pokoju...

— Jakie to, jakie to okropnie wstrętne, prawda Piotrze? — mówiła do mnie Zosienka, gdyśmy się znaleźli sami.

— Tak! Naprawdę, nie wiedziałem, że ta Cyla taka jest dziwna... — odrzekłem.

— Wiesz co — zabłysły jej nagle, przygaszone na chwilę oczy — ja tego Cyli nie podaruję! Nie podaruję dlatego, że ją kocham, a ona...

— Przecież nie można żyć naprawdę w takiej zatrutej atmosferze?... Ach, może i lepiej mi, że już jedną nogą nie jestem między żyjącymi... Może mi i lepiej. Biedna dziewczyna, ta Cyla. Ogień w sobie nosi i pali ją... Ba, cała jest jednym wielkim płomieniem i żarzy się... Rozumię ja, rozumię doskonale, ale mimo to, dzisiejszego występu nie podaruję Cyli... — mówiła wzruszona do głębi, a gdy ochłonęła, wstaliśmy, oparła się o moje ramię i słaniającym się krokiem kaszląc sucho po drodze, poszła ze mną na najbliższy posterunek policji państwowej...

III.

Minął jeden smutny rok od tego czasu, rok spędzony na strasznem, niecierpliwem oczekiwaniu przez Zosienkę śmierci...

Na świecie była znowu wiosna i nad Krakowem świeciło jej radosne słońce...

Tonął w słońcu wiosennem, królujący nad miastem, jak niegdyś nad całym krajem, stary Wawel, tonęły stare Sukiennice, prześliczny kościół Panny Marji i rynek, gdzie bohaterski Naczelnik Kościuszko składał ongiś przysięgę i cały Kraków, wraz z zielonemi plantami..

Ślizgało się radosne, uśmiechnięte, wiosenne słońce po wyszlifowanym kołami aut asfalcie kamiennych ulic, po wielkich szybach sklepowych wystaw, po dachach domów i szarych ścianach starych kamienic.

Lękliwie i nieśmiało zaglądnęło i do pokoju Zosienki... Pustkę tam jednak tylko zastało i straszną grobową ciszę i martwotę... Cyla bowiem już dawno się gdzieś wyniosła... a ostatnią jego mieszkankę Zosię, biedną Zosię... przed tygodniem właśnie korporanci wynieśli na rakowicki cmentarz... Usunęła się ze świata, wyniosła za próg życia tak, jakby nigdy nie była wśród ludzi... Skonała na mych rękach, zapatrzona boleśnie w moje oczy... I oto tylko dziś pozostały we wazoniku, przy rozesłanem jeszcze chorej łóżeczku, zwiędłe okiście białego bzu i kilka wonnych, nigdy nie więdnących gałązek jedliny, które sobie chora poetka kazała przynieść ku łóżku.

I mimo, że ogromna pustka panowała teraz w jej pokoju, że nic tam nie było już, jeno bolesne wspomnienie jej życia — tam tylko siedziałem, w tej właśnie pustce czterech ścian pokoju cichej, zadumanej i zawsze smutnej Zosienki, co miała być moją, a była teraz niczyją...

Całemi godzinami wpatrywałem się we fotografję przedwcześnie zwiędłego dziewczątka, to znów odczytywałem jego nigdy nie drukowane, a prześliczne wiersze, lub wreszcie pamiętnik jego życia, codziennie skrzętnie spisywany...

Właśnie wziąłem do ręki gruby bruljon pamiętnika, począłem przerzucać jego zaczynające już żółknąć kartki i odczytywać drobnym maczkiem pisane zdania:

„...a odejdę w mrok, w zapomnienie nieznana nikomu, lecz chcę, by Piotr nie smucił się za mną, by znalazł szczęście przy innej... Mojem przeznaczeniem jest umierać, jego żyć... Niech nie chodzi na mój grób i nie płacze!... Boże, jak to boleśnie myśleć dzisiaj, że on będzie kochał inną, tak samo, jak mnie, a mnie już nie będzie na świecie... O losie, czemużeś taki bezlitosny? Żebyś o Mamo moja była wiedziała, wydając mnie na świat, że zrodzisz dziecko smutku, niedoli i bólu i śmierci, byłabyś raczej umarła..."

Urwałem nagle... Dalej następowały zdania pełne buntu ducha i serca w chorem ciele, pełne strasznej rozpaczy więdnącego wcześnie życia, chwilami przechodzące w jawne bluźnierstwo przeciw Bogu...

Pot mi wystąpił na czoło, gdy czytałem te zapiski... Nie płakałem już, jak tyle, tyle razy... Nie...

W sercu mem wykwitło nagle jasne zdecydowanie...

Wstałem, włożyłem rewolwer do kieszeni i na świstku papieru skreśliłem drżącą ręką utarte słowa pożegnalne samobójców: „Nie wińcie nikogo! — Odchodzę z własnej niechęci do życia. Chcę się spotkać ze Zosienką. — Bądźcie zdrowi!" — Następnie słaniającym się krokiem wyszedłem na ulicę i skierowałem swe kroki w stronę rakowickiego cmentarza.

Właśnie słońce wiosenne staczało się już wolno ku zachodowi... Na drzewach cmentarnych, na marmurach pomników, na kamiennych płytach grobowców, na wysokiej, tłustej trawie pokrywającej gęsto mogiły zapomniane, kładła się wieczorna, szara cisza...

Snop krwawych promieni zachodzącego słońca padł właśnie na świeżą mogiłę Zosienki, gdy stanąłem nad nią zamyślony... Grób młodej poetki tonął w powodzi polnych kwiatów. Kryło go także kilka skromnych wieńców, przeważnie od koleżanek niedawno zmarłej.

Stałem nad grobem mojego szczęścia, jak zamieniony w słup skalny, nieruchomo. Żegnałem w blaskach zachodu świat i życie moje, gdy w tem nagle na ścieżkach cmentarza ujrzałem idącą ku mnie młodą kobietę...

Ostatnim wysiłkiem woli schowałem rewolwer do kieszeni i stałem dalej nieruchomo.

Tymczasem przedemną stanęła już Cyla...

W rączkach trzymała polne kwiaty. Na sobie miała przewiewną, jasną, wiosenną sukienkę, w złotych włosach powtykane stokrótki... Na licach miała tryskające zdrowiem rumieńce, a jej cudne czarne ognie oczu płonęły rozradowaniem urody życia... Uśmiechała się lekko, nieznacznie do mnie, była jednak mimo wszystko uroczyście poważną. Schyliła nieznacznie ku ziemi swą jasną główkę przedemną... — jakże, o jakże była inną od tej znanej mi dotąd dobrze Cyli!... W blaskach wieczornej zorzy wydawała się być Aniołem Piękna... Gdyby ją było można zamienić w marmur i postawić na grobie Zosienki, miałaby młoda poetka najpiękniejszy pomnik na całym rakowickim cmentarzu.

I zesunęła się w otchłań bryła skalna, co przygniatała moje serce od śmierci Zosienki...

Tymczasem Cyla położyła na grobie Zosienki polne kwiaty... Poznałem, że to ona maiła przez cały tydzień grób mojego dziewczątka, codziennie świeżemi kwiatami... i poczułem do niej za to wdzięczność serdeczną...

— Widziałam cię tu codziennie płaczącego nad tą świeżo rozkopaną darnią... Wiem, wiem, żeś ją kochał miłością świętą, bo duchową, jaka mnie jest obca, nieznana zupełnie.. Ale Zocha odeszła przecież bezpowrotnie w krainę, skąd się już nigdy nie wraca... Nie pójdziesz przecie za nią, ty młody, któryś jeszcze nie wychylił a nawet może jeszcze nie skosztował puharu życia — szczęścia... Tobie żyć, nie umierać!... Popatrz, ja się już odrodziłam!... jestem na nowo (a może poraz pierwszy w życiu) dzieckiem tęsknoty i słońca, pragnę zaznać szczęścia na ziemi, z jednym zakochany mwe mnie człowiekiem. Ty jeden potrafisz naprawdę kochać, więc wyciągam do ciebie moją dłoń... Nie odrzucisz jej przecież? We mnie czeka na ciebie szczęście życia! Chodź Piotrze drogi, bądź na zawsze moim, tylko moim!... Będę ci matką, siostrą, opiekunką, przyjaciółką, żoną i kochanką. Będę cię kochać do śmierci mej ponad życie, ponad wszystko. Chodźmy stąd jednak, bo tu kraina śmierci, a nas, tam w gwarnych ulicach miasta oczekuje życie... — mówiła do mnie jakimś dziwnie proroczym głosem, pełnym uczucia głębokiego i nuty szczerej, nieudawanej, mówiła cicho z szacunkiem do otaczających nas, spokojnie śpiących mogił..

Ujęła mnie za rękę, a ja bez najmniejszego sprzeciwu poszedłem za nią...

Poszliśmy złączeni nowem przymierzem serc na zawsze ku miastu, ku życiu... Poszliśmy narodzeni poraz drugi, uśmiechnięci, na zarośniętej trawą zapomnienia mogile Zosienki-poetki budować gmach wielki naszego szczęścia, gmach naszego budzącego się życia...

...Nie dotrzymałem przysięgi danej Zosience, że odejdę, że odejdę z nią razem, by „tam“ się z nią spotkać i śnić dalej sen szczęścia, ale może mi, może mi... wybaczy tą moją przewinę...

Zosienka miała przecież takie dobre serduszko... a mnie tak trudno, tak okropnie jednak trudno było żegnać życie w płomiennych oczach złotowłosej Cyli...

Jacek Orlik.

Komunja św. Hieronima.

Jeżelibyśmy przeględnęli rodowody świętych katolickich, to przekonalibyśmy się, że pochodzili oni niemal z pośród wszystkich narodów świata, a w życiu zajmowali niemal wszystkie stanowiska, jakie na tym świecie istnieją. Są wśród nich duchowni i świeccy, są cywilni i wojskowi, są biedni i bogaci. I co do wieku to także są policzeni w ich poczet tak zgrzybiali starcy, jak i ludzie w sile wieku, a nie brak też młodzieniaszków, którzy dopiero niemal swój żywot rozpoczęli. A że nie czcimy na ołtarzach małych dzieci, choć niebo nimi jest przepełnione, to nic dziwnego, bo te maleństwa jakkolwiek w życiu nie popełniły żadnego grzechu, to też i nic takiego nie mogły zdziałać, aby je Pan Bóg ludziom na wzór stawiał.



Królowie i synowie królewscy, jak św. Ludwik lub św. Kazimierz i prosty a nieuczony chłopina, jakim był św. Izydor oracz, zajmują przy tronie Bożym równe stanowiska, a od nas odbierają cześć jednakową. Nie gra tu żadnej roli ani płeć, ani stan: są święci i święte, są mężatki, panny i wdowy, są święci, którzy na tym świecie posiadali żony, jak i tacy, którzy pędzili cały swój żywot w celibacie.

A i przeszłość ziemska dzisiejszych świętych była nie jednakowa. Znamy żywoty naszych polskich świętych: Stanisława Kostki i Kazimierza Jagiellończyka i wiemy, że oni już od lat dziecięcych całem sercem pałali gorącą miłością ku Bogu. Ale znamy również i życie tych świętych, którzy przed nawróceniem się brnęli od grzechu do grzechu. Dość tu wspomnieć św. Pawła Apostoła, który był jednym z największych prześladowców wiary Chrystusowej, nim stał się jej najgorliwszym krzewicielem, lub św. Magdalenę, która z kupczącej swojem ciałem niewiasty stała się największą pokutnicą i najgorliwszą wyznawczynią nauki Jezusa Chrystusa. Jest to dowód, że niema na świecie takiego grzesznika, który, gdyby chciał, nie mógłby być policzonym w poczet świętych.

I iluż jest takich ludzi, którzy żyją w grzechu, a umierają w łasce Bożej i idą do nieba, jak również iluż jest takich ludzi, którzy napozór święty żywot prowadzą, w rzeczywistości są większymi grzesznikami, niż ci, na których oni, jako na grzeszników palcami wskazują.

W poczet świętych zaliczył Kościół nietylko prostaczków, ale i ludzi uczonych, którzy nie byli półmędrkami, ale prawdziwymi mędrcami, gdyż zdołali poznać i stwierdzić swym wielkim rozumem, gdzie leży prawda rzeczywista.

Do takich świętych uczonych należy również św. Hieronim. Urodził on się w Dalmacji około roku 330, w wiosce Strydonie. Do szkół chodził w Rzymie i tam, kształcąc się, doszedł do przekonania, że jedynie prawdziwą wiarą może być nauka Chrystusa. To

też, mając 23 lata życia, przyjął Chrzest św. z rąk papieża Liberjusza, a w sześć lat później porzucił życie światowe i oddał się w zupełności w służbę Bogu. Udał się na Wschód, aby badać tamtejsze języki, przyczem gorliwie studjował Pismo św. Powrócił wreszcie do Ziemi świętej i zamieszkał w okolicy miasteczka Betleem, gdzie zajmował się tłomaczeniem Pisma świętego na język łaciński, jak również pisaniem dzieł polemiczno-dogmatycznych i historycznych. Tu umarł, mając 90 lat życia.

Na obrazku naszym widzimy św. Hieronima, gdy jako zgrzybiały starzec przyjmuje z rąk kapłana ostatnią Komunję świętą. Pomimo, że siły jego ciała odmawiają posłuszeństwa, kazał się dźwignąć z łoża boleści, aby jak najgodniej przyjąć Tego, przed którym miał wkrótce stanąć, aby odebrać wieczną nagrodę za swe nieskazitelne życie.

Kościół święty zaliczył św. Hieronima do najuczeńszych ojców Kościoła i nadaje mu tytuł doktora Kościoła.

Obraz, którego podobiznę zamieszczamy, pochodzi z pod pendzla sławnego artysty malarza Girlandoja z XVII wieku, a znajduje się w muzeum we Florencji.



MACIEK BZDURA GADA:

Są na tym świecie ludzie i ludziska; są tacy, którzy prawie co słowo to inksemu cosik przyobiecują, a na dotrzymanie obietnicy na wszyćkie świętości się zaklinają, a są i tacy, że choćbyś z nich bebechy zębami wyciągał, to ani ociupinki z gęby obietnice nie popuscą. Taka jest pomiędzy niemi różnica, ale jest jesce i inksa, a mianowicie że ci, co naobiecują dużo, prawie nigdy nic nie zrobią, a ci, co nie obiecują, to mozes na nich pewnikiem licyć, że co będą mogli, to ci zdziałają. To są dwa gatunki ludzi, ale jest jesce i trzeci, a to tacy, co obiecywać obiecują i zrobić zrobią, ale tak, żeby nie komu inksemu było dobrze, ale im samem.

Do takich należą krzesnoojciec Walanty Kurasek. Spotykam ich wkiejsik, jak śli drogą wele łujkowej stodoły. Ledwie się na nogach trzymali, kieby źrybna kobyła.

— Ocho! Krzesnojcycku — powiadam — znowuście się ululali, jak nieprzymirzając ten nieboscyk wieprzek, co go mój gospodarz na jego nieszczęście w zapusty zakłóli.

— Nie baj... ten tego... panie dzieju! — poczęli bablać Walanty — kaby zaś... ten tego... panie dziku... Co ty smyku wis... ten tego... panie dzieju... ja se ino ducha dał... ten tego... panie dziejku.

— No widzę to, widzę, żeście se złego ducha wlali w siebie i ten was tak na wszyćkie strony za łeb wykręca, jak wójt wójtową, kiedy się ta rozsierdzi i najważniejszej potrzeby mu odmówi.

— Zgadeś! Pajacu!... Ej, nie bres, pókim dobry, bom, kuzden mi to zreśtą przyzna, zem se dobrego ducha wlał... ten tego... panie dziku... a no juści...

— Acha! dobry! — rzekę — kiedy was tak wodzi, jak nieboskie stworzenie. Oj krzesnoojcycku! — Przecieżeście grontowy gospodarz, a takie bydlątko ze siebie robicie!

— Hę? Tak padas? Bydlątko?... ten tego, panie dziku... a moze i mas rację! Nie, nie, przeprasam! Jesteś kiep i w tem cała parada! Bo uwazas... ten tego... panie dzijku... przecieze człek od gada tem się róźni, że gad... panie dziku... ten tego... chlepcę wodę, a człek, katolickie stworzenie, może se piwecka z harakiem głytnąć... no i... panie dziku... kr... kr... krop... kropka. Węzło a krótkowato...

— No tak! Ale wyście przecie ślubowali, toście głytać nie powinni!

— Ślu... ślu... ślubowałem? Uważas... panie dziku! No niby tak...

— A bodajze was mucha pod ogon kopła! Pięknie dotrzymujecie, kiedyście się gorzoły uchlali, że ledwie idziecie.

— Nie bluźnij... panie dziku... ten tego... Nie bluźnij, bo cie sam Jancykryst na samo dno piekła... panie dziku... wsadzi! Człek uściwy, jak obieca, to i dotrzyma... ten tego... panie dziku... i ja ślubowałem, że gorzoły ani nie powącham, to jej tez nie wącham. Rumik tylko i piwcio, a o tem się przy ślubowaniu nie gadało... panie dziejasku.. ten tego... uważas...

Jaze mnie złość rozebrała na takie cygaństwo. Choć Walanty gospodarz gruntowy i jest mi tam po nieboscse babce jakiemsik krzesnoojcem, a ja ino służebnik, alem go mało po jadacce nie przejechał. Zmitygowałem się jednak i padam:

— Bodajem was, krzesnoojcycku nie znał! Ta wy przecie samego Pana Jezusa osukujecie! Nawet Magda wójtowa wie przecie, że jak się ślubuje od picia, to nie ino od gorzołki, ale i od wszyćkiej innej trunkowości, a więc i od haraku, i od piwa, i od wszyćkiego, co moze głowę na bakier wykręcić. A takie ślubowanie, jak wase, to nie jest ślubowanie, ale ślabowanie, jak powiada dziadek i psu na buty się nie przyda.

— Uwazas... ten tego?... A Siulim inacy powiada... panie dziku...

— Siulim musi tak gadać, jak mu lepiej, bo w tem jego jenteres i on na zatracenie dusy nie patrzy, jeno na zysk. Ale spytajcie się jegomości, któremu juz w raju Poniezus zakazał cyganić, to wam to samo powie, co ja.

— Uwazas... ten tego... panie dzieju.. a moze ty i prawdę powiadas... Warto cię usłuchać i panie dziaszku... ten tego... usłucham, boś klawy chłop... A na podziękowanie... ten tego... chodź... pdziejasku... a fundnę ci u Smula herbatki z rumikiem... Popijemy se, jak bracia rodzeni...

— Idźcie do jasnego pieruna — rzekłem i odsedłem, bo z głupiemi ludziami nie mam zwycaju się wdawać.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Hiszpanja III.

„Tempora mutantur et nos mutamur in illos“ — powiada łacińskie przysłowie, co znaczy po polsku: „Czasy się zmieniają i my się w nich zmieniamy“. — I jeszcze jak zmieniamy. Począwszy od stroju, a skończywszy na upodobaniach. Polski chłop zarzucił już niemal zupełnie białą płócienną sukmanę, potomkowie dawnej szlachty nie ubierają już wspaniałych kontuszów, ani czamar, ani palonych butów z cholewami. Prawie wszyscy stroimy się jednakowo, a cała różnica polega na jakości materjału, z jakiego nasze ubranie jest zrobione. Znikają coraz bardziej krasne stroje narodowe naszych dziewcząt, a miejsce ich zajmują coraz bardziej kuse spodniczki, z pod których wszystkie nieprzyzwoitości pchają się na świat.



Mazzantini.

Ale to nietylko u nas; tak jest na całym świecie. Lewantyniec przykroił już swój narodowy chałat na kształt surduta. Turek zamienił turban na europejski kapelusz, dziewczęta z Sewilli zarzuciły koronkowe mantylle, a przybrały swe główki w modne kapelusze. A nawet dzikus afrykański coraz częściej wstydzi się swego narodowego stroju, jakim jest zupełna golizna, a na biodrach swych i grzbiecie rozwiesza rozmaite szmatki, jakby na płocie bieliznę do suszenia.

Razem z zanikiem strojów narodowych zanikają też i niejedne zwyczaje narodowe. Nie można tego jednak powiedzieć o hiszpańskich walkach byków. Trwają one od setek lat niezmienione, jak prawie niezmieniony jest strój tamtejszych zapaśników. A zawody te cechuje barwność strojów, które przetrwały setki lat. Tak się ubierał zapaśnik za króla Filipa V, jak i dziś występuje do zapasów.

Na obrazkach naszych widzimy dwóch takich zapaśników hiszpańskich; są to sławni ludzie Legartjo Chice i Mazzantini, którzy na arenie cyrkowej zdobyli sobie popularność w swojej ojczyźnie, a znani byli również poza granicami kraju. Widzimy ich barwny i oryginalny strój. Bo na zapasach tych wszystko musi być barwne, wszystko kształtne, wszystko zgrabne. Publiczność, dwunożni i czworonożni aktorzy tworzą organiczną, jedyną w swoim rodzaju całość, na czem polega właśnie urok widowiska. Hiszpan ma wyrobiony smak i czuły zmysł na piękne kształty, ruchy i postawę — brzydota go razi, uroda zachwyca w wyższym daleko stopniu, niż mieszkańca zimnych stref, na widok cierpienia się nie wzdraga, bo i ból nawet może przybrać plastyczny i klasyczny wygląd. Umie on, czego my nie potrafimy, skupić całą swoją rozkosz jedynie na wzroku. Duchawe wzruszenia nie mogą u niego przytłumić radości wzroku.

Nic, pominąwszy konie, szpetnego nie ma wstępu na arenę. Strojni i dorodni młodzieńcy igrają z dorodnym również przeciwnikiem, któremu nieokiełzana dzikość przysparza grozy, ale zarazem i uroku.

Mieszkańcom zimnej, dżdżystej, pochmurnej północy potrzeba do szczęścia jadła i napitku do syta, ciepłego kąta i domowego zacisza; gdy im tego nie zbywa, czują się jak u Pana Boga za piecem. Południowcom to nie wystarcza. Wstrzemięźliwi w pokarmach i napojach, mniej zazwyczaj dbający o statki i dostatki domowe, łakną natomiast hucznej, gwarnej, powszechnej zabawy, a tę właśnie daje im walka byków.

Ale wróćmy do walki samej. Oto na arenie jest już byk i są jego przeciwnicy. Na koniu wjeżdża pikador, zaczynający walkę. Na obrazku naszym widzimy właśnie tę chwilę. Na pierwszym planie byk i pikador na koniu, wgłębi tłumy ludu, żądne krwawego widowiska. Pikador zeskakuje z rumaka i staje oko w oko z rozjuszonem zwierzęciem. Czerwona płachta powiewa w jego dłoni. Podrażniony byk rzuca się na swego przeciwnika, aby go nadziać na swe rogi i życia pozbawić. Ale człowiek jest zręczniejszy i przebieglejszy od zwierzęcia, uskakuje więc momentalnie w bok, a rozpędzone zwierzę uderza w próżnię. Staje więc zdziwione i jeszcze bardziej rozgniewane. Rozgląda się chwilę po arenie i znów widzi opodal drażniącą go czerwoną płachtę. Zawraca na miejscu i z całym impetem rzuca się na swego przeciwnika. Lecz i ten z zapartym tchem śledzi każdy ruch zwierzęcia. Byk jest już tuż przy nim, już dotyka jego nóg, zda się chwila ostateczna: albo byk padnie przeszyty ostrem żelazem u stóp zwycięzcy, albo byk nadzieje go na swe rogi. Wszak te już stykają się niemal z kolanami człowieka. Lecz byłaby to zabawa niezupełna, walka za krótko trwająca. Celem zapaśnika jest zmęczenie zwierzęcia, przetrzymanie go niejako na siłę. Jest na to przygotowany torrero. Kiedy byk pochylił swój łeb, aby wsadzić rogi w ciało swego przeciwnika, ten momentalnie stawia nogę pomiędzy rogami zwierzęcia i jak linoskoczek przebiega po jego grzbiecie. Oczywiście wówczas huragan oklasków towarzyszy jego krokom. Zewsząd słychać krzyki zachęty i uznania.



Lagartjo Chico.

Walka trwa dalej, a tak na arenie, jak i wśród publiczności panuje niebywałe podniecenie i obcokrajowiec mógłby nieraz przypuszczać, że ta cała



Pikador zaczynający walkę.

masa przypatrujących się widowisku ludzi runie na arenę i rzuci się na byka, aby gołemi pięściami rozpocząć z nim nierówną walkę. A jeżeliby w swej masie nie miała do niego dostępu, to sama weźmie się za łby i będzie się włóczyła po cyrkowym piasku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Nazajutrz jednakowoż musiano przerwać pracę z powodu zdarzenia, które trzeba opowiedzieć szczegółowo, gdyż należy ono do liczby tych dziwnych wypadków na wyspie Finy, których niepodobna było wytłómaczyć.

O godzinie ósmej rano Karefinotu wdrapał się w wewnętrznem wydrążeniu drzewa do rozwidlenia gałęzi, by szczelniej zatkać otwór, przez który przeciekało i wiało. Nagle, dotarłszy już do owego otworu, wydał dziwny okrzyk. Godfrey podniósł głowę i z gestów dzikiego poznał, że go przyzywa do siebie. Przekonany, że Karefinotu nie odrywałby go od pracy bez ważnego powodu, co spieszniej wdrapał się wąskim jakoby korytarzem na gałęzie i niebawem siedział okrakiem na grubym konarze.

Karefinotu wskazał ręką w kierunku zatoki... — Niby długi szary ogon, smuga dymu wzbijała się w powietrze.

— Znowu! — wykrzyknął Godfrey, skierowując lunetę na ów punkt. Tym razem ani przez chwilę nie mógł wątpić, że jest to dym, pochodzący najpewniej z jakiegoś ogniska, mniej więcej w odległości pięciu mil.

Godfrey odwrócił się do Murzyna, który miną, wykrzykami, całem swem zachowaniem, dawał wyraz najwyższemu zdziwieniu. Widocznie zjawisko to wprawiło go w niemniejsze wzburzenie, jak Godfrey'a.

Na morzu nie było jednak widać ani statku, ani łodzi, któreby wskazywały, że jacyś ludzie wylądowali na wyspie.

— Tym razem muszę się absolutnie dowiedzieć, skąd pochodzi ten dym! — wykrzyknął Godfrey, wymownemi gestami dając Murzynowi do poznania, że bezzwłocznie uda się na miejsce, skąd wzbijał się słup dymu.

Karefinotu odrazu zrozumiał, potakując głową na znak, że zamiar ten pochwala.

— Tak — mówił Godfrey do siebie — jeśli tam przebywa jakaś ludzka istota, to trzeba się dowiedzieć, skąd przybyła, dlaczego się ukrywa i jakie względem nas żywi zamiary.

W parę minut później, Godfrey i Karefinotu wrócili do domostwa. Godfrey uwiadomił Tarteletta, że rusza w drogę, by sprawdzić, skąd pochodzi dym tajemniczy i zaproponował mu, by się przyłączył do wyprawy.

Marsz dwunastomilowy wcale jednak nie pociągał człowieka, uważającego, że nogi jego przeznaczone są do szlachetniejszych zajęć. To też profesor oświadczył bez namysłu, że woli zostać w domu.

— Jak pan uważa — odrzekł Godfrey. — Idę więc z Karefinotem, ale uprzedzam, że nie wrócimy przed wieczorem.

Zabrali trochę żywności i pożegnawszy profesora, który z góry uważał trud ich za bezowocny, ruszyli w drogę.

Godfrey zabrał strzelbę i rewolwer, Murzyn topór i nóż myśliwski, który stał się ulubioną jego bronią. Przeszli mostkiem na prawy brzeg strumienia, następnie w poprzek łąki ku owemu punktowi wybrzeża, ponad którym między skałami wznosił się dym.

Szybkim krokiem, uważnie jednak rozglądając się po otoczeniu, czy wśród zarośli nie zaczaiło się jakie dzikie zwierzę, obaj mężczyźni szli w zamierzonym kierunku.

Nie wydarzyło się nic niebezpiecznego.

Około południa, posiliwszy się, idąc, gdyż ani o jedną minutę nie chcieli opóźnić zbadania przyczyny dymu, doszli do pierwszych skalnych krawędzi. Wciąż jeszcze smuga dymu wzbijała się w powietrze — tym razem zaledwie w odległości kilkuset metrów. Szli prosto przed siebie, przyspieszając kroku, gdyż uważali, że zawsze bezpieczniej napaść kogoś znienacka, niż zostać napadniętym.

Nagle dym się rozprószył, jak gdyby ktoś szybko ugasił był ognisko. — Godfrey jednak zapamiętał, że dym wzbijał się nad wierzchołkiem skały, wyzębionej dziwacznie w kształcie ściętej stożkowato piramidy i prosto ku niej podążał.



...Z całą zwinnością zmykał przed ogromnym krokodylem.

Spiesznie przebyli niedużą odległość, dzielącą ich od owej skały i niebawem stanęli na jej szczycie... Nigdzie żywej duszy... Tym razem jednak Godfrey odkrył gorące jeszcze ognisko z niedopalonemi głowniami drzewa, co wymownie świadczyła, że przed chwilą jeszcze ktoś ogień podsycał!

— Kto tu był przed chwilą! — krzyknął Godfrey. — Musimy się dowiedzieć, kto rozniecił ten ogień.

Zaczął wołać we wszystkich kierunkach... nikt nie dawał odpowiedzi... Karefinotu wydał okrzyk przenikliwy — nikt się nie pokazał!

Stali tedy obydwaj niby wół przed malowanemi wrotami, poczem zaczęli przetrząsać wszystkie jaskinie i załomki, czy nie ukrył się tam jakiś rozbitek lub mieszkaniec wyspy.

Wszystko napróżno! Nigdzie nie odkryli najmniejszego śladu istoty ludzkiej, ani resztek posłania, na którem mógł był spoczywać, ani nawet odcisków stóp...

— A jednak — powtórzył Godfrey — tym razem nie może być mowy o jakiejkolwiek pomyłce. I nie były to opary z gorącego źródła, jak wpierw przypuszczałem, lecz dym z ogniska! Zresztą widzieliśmy przecież dogasający ogień, a sam on się nie rozniecił.

Na nic zdały się szukania! Na nic wszelkie badania! Około godziny drugiej popołudniu, zmordowani bezowocnem szukaniem i rozdrażnieni tajemniczością wypadku, ruszyli z powrotem do domostwa. Zbytecznem chyba dodawać, że Godfrey wracał nietylko wzburzony, lecz w najwyższym stopniu zaniepokojony całem zajściem.

Wyglądało to tak, jak gdyby wyspa pozostawała pod władzą jakichś tajemniczych sił, których odkryć niepodobna. Trzykrotne ukazanie się dymu, którego przyczyny niepodobna zbadać, nagłe pojawienie się dzikich zwierząt — czyż wszystko to nie mogło wytrącić z równowagi człowieka myślącego? A prawdziwie, nie mogły też uspokajająco podziałać dziwne szelesty, które go nagle wyrwały z głębokiego zamyślenia... Karefinotu gwałtownym ruchem usunął go na bok w chwili, gdy zwinięty w trawie grzechotnik podniósł łeb potworny, by się nań rzucić!

Wąż! Więc także węże jadowite są na wyspie! Niedźwiedzie, tygrysy i węże! Niema co mówić, jak miłych mają współmieszkańców!

Tak! Łatwo było rozpoznać owego gada po szmerze, przypominającym dźwięki grzechotki... — Jeden z najbardziej jadowitych gadów również ma siedzibę na wyspie Finy!

Karefinotu rzucił się pomiędzy Godfreya a gada, który w okamgnieniu zniknął wśród zarośli. Murzyn poskoczył jednak za nim i jednem cięciem topora odciął łeb od kadłuba. Gdy Godfrey podszedł, dwie krwawe części podskakiwały na trawie.

Trochę dalej na łące zobaczyli całe gromady innych gadów, mniej niebezpiecznych, które pełzały na przestrzeni pomiędzy strumieniem a drzewem Wilhelma.

Czyżby wszystkie gady wyemigrowały nagle na wyspę Finy? Godfrey nie wiedział poprostu, co o tem myśleć, raz po raz zadając sobie pytanie, dlaczego przez szereg miesięcy nie widywał na wyspie ani dzikich zwierząt, ani gadów.

— Naprzód! Naprzód! — krzyknął Godfrey, przynaglając Murzyna do pośpiechu.

Gnany niepokojem, pełen najgorszych przeczuć, zmierzał ku domowi. Doszedłszy do mostku, którym połączył był obydwa brzegi strumienia, usłyszał rozdzierające krzyki: ratunku! ratunku!

— To Tartelett! — zawołał Godfrey. — Biedaczysko został chyba napadnięty! Spieszmy! Spieszmy!

W paru susach przebyli przestrzeń dzielącą ich od grupy drzew-olbrzymów i w odległości 20 kroków ujrzeli nieszczęsnego tancmistrza, z całą zwinnością swych gibkich nóg zmykającego przed ogromnym krokodylem.

Krokodyl wyszedł widocznie ze strumienia, i z rozwartą paszczą gonił za tancmistrzem, który w swem ogłupieniu zamiast uciekać zygzakowato, biegł ciągle przed siebie, co krokodylowi ułatwiało pościg. Lada chwila, a ostre zęby potwora pochwycą nieszczęśnika... Och... teraz się potknął... upadł... Stracony!...

Godfrey przystanął. W obliczu niebezpieczeństwa, ani na chwilę nie utracił panowania nad sobą. Zdjął strzelbę, odwiódł kurek i wymierzył w oczy potwora.

Kula zmiażdżyła mu łeb, krokodyl osunął się na bok i pozostał bez ruchu.

Karefinotu poskoczył do Tarteletta. Tancmistrz dźwignął się przy pomocy Murzyna, trzęsąc się cały jak osika, lecz zdrów i cały.

Dochodziła szósta wieczorem... W parę minut później, Godfrey z dwoma towarzyszami był znów w wydrążeniu drzewa.

Jakże posępne myśli musiały ich trapić tego wieczora! Jakże straszne, bezsenne godziny czekały tej nocy nieszczęsnych mieszkańców wyspy Finy, przeciw którym zwróciły się teraz losy w całej swej srogości!

Nieszczęśliwy mistrz Tartelett, w najwyższej trwodze i lęku, powtarzał raz po raz:

— Ja chcę wyjechać! Ja chcę wyjechać! W tem jednem pragnieniu skoncentrowało się całe jego myślenie. Niestety, pragnienie to było niewykonalnem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zamiana.

Młody dziedzic Z., otrzymawszy po ś. p. ojcu swoim rozległe dobra, zaczął gospodarkę w ten sposób, że poznosił wszystkie karczmy, które do jego dóbr należały. Dwie z nich darował gminom na szkoły, jednę Kółu rolniczemu. Z wielkim krzykiem musieli się żydzi wynosić. Nie pomogły żadne prośby i lamentacje.

Icek Klappes śmiał się ze wszystkiego, bo karczma czwarta była jego własnością, kupił ją od ś. p. starego dziedzica za różne wysługi i faktorne. Teraz zacierał ręce z radości, bo jego karczma była dzień i noc napełniona, stała bowiem przy głównej drodze w środku wsi, a więc wszyscy ludzie tu mieli ściąg. Po zniesieniu karczem Icek dobudował jeszcze jednę zbę wielką, w której posprawiał kosztowne stoły i ławki oraz elegancki szynkwas a nad drzwiami dał tablicę, roboty jakiegoś semickiego artysty, z napisem: *„Icek Klappes, Wisynk — piwo z wodkiem — rumem — kerbatem i różne psiekąski na czepło, na zimno w Zabojce“.* — Z tej tablicy tak się Icek cieszył, że w każdy siabes pół kopy razy nawrócił spacerem po trawniku przed karczmą a przed samą tablicą przystawał i kręcił korkociągi.



Dziedzicowi była Zabojka solą w oku, widział jak się żyd panoszy, wiedział dobrze o tem, że góral bez gorzałki i dnia się nie obejdzie, chyba że jej nie ma gdzie dostać. Postanowił zatem kupić karczmę za wszelką cenę. W tym celu zgłaszali się ludzie do Icka z propozycją kupna Zabojki, ale Icek ani słyszeć o tem nie chciał.

Pewnego dnia, gdy ludzi była pełna karczma, zajechał powóz i dziedzic zjawił się w karczmie. Icek zdjął kapelusz, kłaniał się i zginał we dwoje, ale już zgóry spozierał na niego.

— Dzień dobry panu! Czy nie mógłbyś pan chwilkę czasu oderwać się od zajęć, mam coś z panem do pomówienia — rzecze dziedzic.

— Natichmiast, natichmiast, służę jaśnie panu — odparł żyd, otworzył drzwi do alkierza, wprowadził dziedzica i sam w skulonej postawie czekał.

— Mam taki interes do pana — rzecze dziedzic — spodobał mi się ten trawnik przed karczmą, odstąp mi pan sążeń kwadratowy.

— Ny, a to na co panu?

— No, postawiłbym sobie ławeczkę. Czasem latem idę na spacer, tobym sobie wypił szklankę piwa i odpoczął. Wspaniały stąd widok.

— Oj joj, locego nie? Nawet to jaśnie panu sam każę postawić altanę, a może z kręgielniemby pan chcioł? — zawołał żyd.

— Nie, nie! chcę kupić jeden tylko sążeń lub zamienić, dam morgę łąki pod młynem.

Ickowi zaiskrzyły się oczy.

— No, to zgoda, niech pan cały ten trawnik używa. Jasny pan nikomu z krzywdem nie zrobi!

— A więc do widzenia! Jutro zrobimy kontrakt u rejenta.

— Na co, po co kontrakt? — krzyknął Icek. — Pan trawnik użiwo i kwit.

— Prawda, ale to nie byłoby nic pewnego, sambyś potem żałował, kochany panie Icku. Mnieby się rozwidziało może, no i nie dałbym łąki. Najlepiej zrobić kontrakt zamiany. Zasadzimy kamienie graniczne i będzie dobrze.

— Git, git, sioj git! Ma pan z racyjem! Jutro kontrakt, git — krzyczał Icek uradowany dobrym geszeftem, ale dziedzica już nie było.

Icek wskoczył do szynkownej izby i z wielkiej radości kowalowi wydał ze szóstki, co wypił kieliszek wódki, dziewięć szóstek, a Kubie Gromowskiemu, co wołał o kwaterkę wódki, postawił kwartę okowity. — Na drugi dzień zrobiono kontrakt. Dziedzic odmierzył żydowi morg łąki i sobie jeden sążeń trawnika przed karczmą. Icek był ucieszony.

Nie długo jednakże trwała ta uciecha. Na trzeci dzień, a było to w szabes, gdy Icek wrócił z bóżnicy, ujrzał przed Zabojką wspaniały, dość wysoki krzyż dębowy a na nim napis: *„Pijaku! Chrystus umarł dla ciebie, abyś był w niebie!“*

Icek skakał po izbie, jak oparzony, targał brodę i paragrafy koło uszu, a krzyczał:

— Aj waj, oches mir! — a wszyscy żydzi robili taki krzyk, że niczem dziesięć jarmarków.

Na drugi dzień, w niedzielę, jeszcze dziedzic nie wstał z łóżka, gdy Icek wpadł do pokoju jak bomba, z krzykiem:

— Co pan wirabia za kimedyje? po co tin drewno przed moje okno? Tam mieli bicz z ławkiem!

— Co, co? — rzecze dziedzic, zrywając się z łóżka — wszak to mój sążeń! Ty sobie na łące postaw i bóżnicę, wolno ci, bo twoja!

— Ale jo nie chcę łąka! Ja zapłacę wszystkie koszta!

— Antoni! — zawołał dziedzic, a w tej chwili zjawił się lokaj. — Wyrzuć tego żyda za drzwi!

— Ja sam... ja sam... — bełkotał żyd, pchany z szaloną szybkością przez Antka.

* * *

Krzyż raził żyda i ludzi. Żyd ze zgryzoty się rozchorował, ludziom czegoś brakowało. Niejeden, przeczytawszy napis, zmówił pacierz i nie wstąpił do karczmy. Karczma stała pustką. Icek, gdy wyzdrowiał, sprowadzał różnych żydów i adwokatów, radzili i radzili, ale nic nie uradzili. W miesiąc później Icek sprzedał karczmę dziedzicowi, nawet tanio, bo dziedzic niby to nie miał ochoty kupić, a ten sążeń wszystkim kupcom był na zawadzie. Dziś w tem miejscu, gdzie była Zabojka, stoi kapliczka.

Piotr Lipowiak.



Poradnik gospodarczy.

Nieco o hodowli kur.

Przy każdej wiejskiej chacie widzimy mniejsze lub większe stadko kur. Hoduje je zamożna gospodyni, jak i biedna komornica, aby za sprzedane jajka mieć grosz na sól, naftę lub inne drobiazgi, niezbędne w gospodarstwie. Ale niemal każda z tych hodowczyń, zapytana, czy hodowla się opłaca, wzruszy ramionami, gdyż nie wie, co ma odpowiedzieć. Są i takie, które na zadane pytanie odpowiadają, że kury „zeżrą" więcej, aniżeli przyniosą pożytku. I rzeczywiście tak jest po największej części, a tak być nie powinno.

Powodem nieproduktywności kur jest ich nieumiejętna hodowla. Przedewszystkiem w naszych gospodarstwach hodujemy przeważnie kury zwyrodniałe, zrodzone w familji, których matką jest ciocia, a ojcem wujek, albo matką siostra, a ojcem brat i t. p. Potomstwo ich, jak wskazują doświadczenia, poczynione na wszystkich stworzeniach, jest zreguły zwyrodniałe, wskutek czego nie znosi ani dostatecznej ilości jaj, ani też jaja te nie są tak „dorodne", aby je dobrze można było spieniężyć. Kura kiepska, nienadająca się do chowu, korzyści nie da, przyniesie stratę. Kura dobra nietylko zapłaci za zjedzony pokarm i za pracę koło niej, ale jeszcze da dochód. Aby nie mieć jednak przykrego zawodu, trzeba się na chowie kur znać.

Jeżeli kury dochodu nie dają, winę tego przypisać sobie powinien ich właściciel, którego stać na to, aby kury kupić i utrzymywać, lecz nie stać go na to, aby hodowlę oprzeć na zasadach nauki i kalkulacji.

Początkujący hodowca nie powinien zaczynać od chowu dużej ilości kur, lecz w miarę jak zdobywa doświadczenie, może stadko ilościowo powiększać. Stadko kur może się stać nietylko uzupełnieniem dochodu dla tego, kto się głównie hodowli kur poświęci, tylko wtedy jednak, gdy hodowca umiejętnie niem kieruje i sam pracę wykonuje. Z kurą trzeba się obliczać, zapisując dochody i wydatki.

Dobre nioski należycie pielęgnować, a kury kiepskie z hodowli usuwać, jako darmozjadów.

Starannie zorganizowana hodowla, wyposażona w środki i urządzenia, posiadająca właściciela przedsiębiorczego, jak się to mówi z „głową", staje się przedsiębiorstwem zapewniającem dochód.

W naszych warunkach, w hodowli kur największe znaczenie posiada produkcja jaj. Hodować więc należy takie kury, które niosą jaja duże i w dużej ilości.

Pamiętać jednak należy o tem, że do chowu nadaje się lepiej nie ta kura, która znosi rocznie dużą ilość jaj małych, lecz taka, która znosi jaja duże, powyżej 50 gramów sztuka. Im jaja większe, tem, naturalna rzecz, są pokupniejsze i osiągają ceny znacznie wyższe.

Dobierać również należy do chowu kury o dużej nieśności, w miesiącach jesiennych i zimowych, t. j. w tym czasie, gdy osiąga się za jaja ceny wyższe.

Skądże wziąć takich kur? Przedewszystkiem należy zaniechać wyprodukowywania drobiu w rodzinie. Wszak u nas, gdy kwoka wysiedzi kurczęta, zostawia się do hodowli wszystkie kokoszki i jednego koguta. Jest to błąd nie do darowania, gdyż dalsze potomstwo tej gromadki będzie mniej lub więcej zdegerowane. A im dłużej rzecz tę się praktykuje, tem skutki są coraz ujemniejsze.

Aby temu zapobiec, trzeba do swej trzódki postarać się o obcego koguta, z jakiejś dalszej wsi, co nie sprawi zbytniej trudności, gdyż koguta takiego łatwo kupić na targu. Odświeżanie krwi jest przy hodowli kur niezmiernie ważnym czynnikiem.

Ale to jeszcze zamało. Gosposie nasze hodują kurki skarłowaciałe, z dziada pradziada trzymane przy gospodarstwie. Nikt tu nie uważa na ich rasę gdyż są one bezrasowe, ale hoduje to, co mu się tam pod piececm ulągnie. A tymczasem i u nas w Polsce jest dużo ras kur, których hodowla znakomicie się opłaca. Cóż, kiedy nam żal pieniędzy na kupno choćby tuzina jaj, z których mielibyśmy i dorodne i nośne kurki. Znane są dobrze ze swej nośności polskie zielononóżki, znane włoskie kuropatwiaki, które niosą jaja duże, a pożywienie w większości same sobie wyszukują po podwórzach i sadach. Kury te jednak rzadko są rozpowszechnione, bo gosposiom naszym żal pieniędzy na ich zakupno.

Kto chce więc mieć korzyść z hodowli kur, musi przedewszystkiem postarać się o dobrą rasę kur, a i potem musi co pewien czas krew swojego dobytku odświeżać, aby się nie wyrodził, nie skarłowaciał.

Praktyczne rady.

Deseń kolorowy na materjałach bawełnianych utrwala się przez zanurzenie w solonej wodzie.

Jeśli ogień w piecu jest na wygaśnięciu, wystarczy rzucić nań garść soli, a z łatwością rozpali się na nowo.

Jedwabne chusteczki i wstążki należy prać w solonej wodzie i prasować na mokro, a będą wyglądały jak nowe.

Sól zwilżona sokiem cytrynowym zmyje uporczywe plamy z rąk.

Utrzeć kawałek ziemniaka i zmieszany z białkiem położyć na sparzone miejsce nakrywając suknem, a na ciele nie pozostanie znak.

Filiżanki mające plamy z herbaty, należy wytrzeć solą.

Małą ilość soli powinno się dodać do wapna, by się lepiej trzymało.

Flaszki należy myć w wodzie z rozpuszczoną solą.

Zwyczajna sól stołowa ma duże zastosowanie w czasie generalnych porządków, jak naprzykład do czyszczenia dywanów.

Sól zmieszana z sokiem cytrynowym wyciągnie rdzę z materjałów. Po nałożeniu soli na rdzę, należy trzymać plamę nad parą.

KRONIKA.

Burze i gradobicia. Z szeregu miejscowości w Polsce nadeszły w ubiegłym tygodniu wieści o gwałtownych burzach, ulewach i gradobiciach. Nie obeszło się bez wypadków śmiertelnych, porażeń od pioruna i pożarów. Gdzieniegdzie zerwane zostały połączenia telefoniczne i telegraficzne. Przedewszystkiem silna burza przeszła nad północno zachodnią częścią Polski. Pioruny spowodowały szereg groźnych pożarów i zabiły trzy osoby, między innemi posterunkowego Aleksandra Laisa w chwili, gdy zawiadomiony telefonicznie o pożarze, jechał na rowerze na miejsce wypadku. — Pod Lublinem burza zmusiła samolot wojskowy do lądowania. Nad powiatem baranowickim przeszła gwałtowna burza gradowa. W kilku gminach zniszczone zostały doszczętnie oziminy i zasiewy wiosenne. Uszkodzone zostały drogi i poprzerywane groble. We wsi Mikulice spadł grad wielkości kurzych jaj. W dwóch powiatach Nowogródczyzny szalała gwałtowna burza z gradobiciem i oberwaniem się chmury. Nad powiatem nowogródzkim przeszedł huragan, który wyrządził znaczne szkody. Również część powiatu lwowskiego nawiedziło gradobicie. Ziarna gradu dochodziły do wielkości drobnych jabłek. W gminach Zimna Woda, Rudno i Konopnica grad zniszczył na przestrzeni 600 morgów 100 proc. żyta i pszenicy. W innych częściach nawiedzonej klęską okolicy, gdzie zniszczone zostały również warzywa i drzewa, szkody sięgają 75 proc. zasiewów. Szkodę obliczają na 100.000 zł. Zrozpaczona ludność pragnie jeszcze przeorać ziemię i posiać na niej hreczkę. — O podobnych burzach i gradobiciach donoszą również z innych krajów europejskich, jak Grecji, Szwajcarji, Anglji i t. d.

Katastrofalne skutki burzy. Burza, jaka przeszła w ubiegłym tygodniu nad Polską, wyrządziła w niektórych miejscowościach bardzo poważne szkody. Według nadesłanych raportów na terenie powiatu łaskiego grad zniszczył doszczętnie do 400 morgów zboża. Straty sięgają 400 tysięcy zł. Również w powiecie Radomsko grad zniszczył zasiewy na przestrzeni 60 ha. Straty sięgają sumy 300 tysięcy zł. Jednocześnie w tym samym powiecie wybuchły dwa pożary od uderzeń piorunów. We wsi Kobyle Wielkiej dwie trzecie wsi spłonęło. Spaliło się ogółem 19 domów mieszkalnych, 18 obór, 14 stodół, 17 szop i t. p. Straty wynoszą 200 tysięcy zł. Drugi pożar powstał we wsi Wilków. Ogień zniszczył 5 domów mieszkalnych, stodoły, obory i t. p. Straty sięgają 50 tysięcy zł. W czasie pożaru poniósł śmierć pastuch Jan Kmiecik, który spał w jednej ze stodół.

Pożary od pioruna. Od uderzenia pioruna wybuchł pożar w stodole Ottona Klobusa w Łodygowicach, który zniszczył stodołę i spichlerz. Ponadto spłonęło około 150 cetnarów metr. słomy, 8 wagonów zboża oraz narzędzia rolnicze. Wyrządzona szkoda wynosi 50 tysięcy złotych. — W Słotowej (pow. Pilzno) uderzył piorun w dom Katarzyny Wnękowej. Pastwą ognia padł dom mieszkalny wartości 1.800 zł. Z ludzi nikt nie odniósł szwanku.

Tragiczne skutki nieostrożności. W Gorzowie, pow. Chrzanów, w dniu 26 ub. m. odbywało się wesele Gertrudy Palkównej, córki naczelnika gminy, z Stanisławem Zamarlikiem. Podczas wychodzenia do ślubu młodej pary, któryś z gości wystrzelił z rewolweru „na wiwat". Strzał padł tak nieszczęśliwie, że kula przeszyła czaszkę drużki, Magdaleny Zamarlikównej, która też po 15 minutach zakończyła życie. Obywatele Gorzowa współczują nad rozpaczą naczelnika gminy, któremu zły los i nieostrożna ręka położyły w dniu dlań tak uroczystym trupem bliską krewniaczkę przed bramą domu, tembardziej, że naczelnik Gorzowa jest jedynym człowiekiem, który czuwa na każdej zabawie nad porządkiem i jest postrachem wszystkich awanturników. Pomimo ciężkiej zawodowej pracy całodziennej szedł wieczór na każdą zabawę, a samo jego pojawienie się na sali tanecznej wystarczyło do zapewnienia spokoju na zabawie. Opuściwszy dom i gości, cały niemal dzień chodził jako świadek śledztwa z posterunkowym policji. Zwłoki ś. p. Zamarlikównej złożono w kostnicy dla przeprowadzenia sekcji sądowo-lekarskiej.

Granatem w gości weselnych. Z Łańcuta donoszą o niesłychanym wybryku okolicznych parobków, który szczęśliwym wprost zbiegiem okoliczności nie zakończył się śmiercią kilku osób. Oto we wsi Rogóżno, pow. Łańcut, odbywało się wesele, na które przybyli parobcy z sąsiednich wsi Kosiny i Białobrzegów. Między parobkami obu tych wsi panuje oddawna silna nienawiść i przy każdej sposobności dochodzi między nimi do bójek. Parobczaki z Kosiny postanowili wykorzystać obecność swoich wrogów na weselu w Rogóżnie i uplanowali zrobienie na nich zasadzki w chwili, gdy będą wracali do domu przez tor kolejowy. Istotnie parobcy z Kosiny pierwsi opuścili zabawę, a znalazłszy się na torze kolejowym, ukryli się za wałem. Między nimi był obecny parobczak, odbywający służbę w 10 pułku strzelców konnych w randze kaprala, który idąc na wesele, na wszelki wypadek zabrał ze sobą granat ręczny i z granatem tym wziął udział w zasadzce. Gdy po jakimś czasie pojawili się na torze parobcy z Białobrzegów, ów kapral z za wału cisnął w nich granatem, którego skutki okazały się straszne. Rzut granatu okazał się celny i wskutek powstałej eksplozji 14 osób odniosło rany. Stan niektórych rannych jest bardzo ciężki, tak, że po udzieleniu im pierwszej pomocy, trzech z nich musiano odwieźć do szpitala w Jarosławiu. Kaprala, sprawcę eksplozji, aresztowano.

Tragiczny koniec groźnego zabijaki. W Hureczku, pow. Przemyśl, został w czasie zabawy weselnej u jednego z gospodarzy podczas bójki zabity niejaki Jakób Lichy, liczący lat 26, znany w tamtejszej okolicy złodziej i awanturnik. Lichy zjawił się nagle, jako nieproszony gość na weselu, a czując się bardzo ozięble przyjętym, rozpoczął z miejsca awanturę, na którą jednak miejscowi parobcy byli widocznie odpowiednio przygotowani. Lichego bowiem natychmiast wytrącono za obręb domostwa, zapowiadając mu, aby się nie ważył wrócić, jeśli mu życie miłe. Ostrzeżenie to jednak nie pomogło, gdyż Lichy za chwilę znów się zjawił i rozpoczął bójkę, podczas której odniósł tak ciężkie rany, że zginął na miejscu. Dochodzenia wykażą, kto mu zadał ciosy śmiertelne.

Pożar poczty w Borysławiu. W ubiegłym tygodniu o 9 przed południem wybuchł pożar w gmachu nowej poczty w Borysławiu. Powodem pożaru była eksplozja maszynki „Primus" spowodowana w mieszkaniu jednego z funkcjonarjuszy pocztowych, mieszkającego na pierwszem piętrze w tymże gmachu. Pożar, na szczęście, pomimo braku hydrantów, został szybko zlokalizowany, zniszczył tylko częściowo mieszkanie podurzędnika pocztowego.

Gęsi przyczyną śmierci. Wieś Kopaliny gminy Przerąb pod Radomskiem była widownią krwawego zajścia, którego ofiarą padł sołtys tej wsi Feliks Jarecki, oraz zięć jego Roman Gorzędowski. W godzinach rannych jeden z gospodarzy tej wsi, a mianowicie Władysław Szymański pasł na łące gęsi. Gdy ułożył się w cieniu i zasnął, gęsi weszły do sadu najbliższego sąsiada Stefana Janiczka, który, spostrzegłszy to, „zajął" je.

Gdy przebudzony Szymański zwrócił się do sąsiada o zwrot gęsi — powstała awantura, która ściągnęła na miejsce sołtysa Jareckiego. Nie pomogła interwencja sołtysa, Janiczek nie chciał zwrócić zajętych gęsi. Jeden z synów Janiczka, widząc, że sołtys jest przeciwko jego ojcu, podszedł doń od tyłu i zadał mu straszliwy cios żelaznym łomem w głowę. Sołtys padł z pękniętą czaszką na ziemię. Widząc to zięć jego Gorzędowski, usiłował rzucić się na mordercę, został jednak ugodzony kamieniem w głowę i padł nieprzytomny na ziemię. Po tym zbrodniczym czynie syn Janiczka zbiegł. Policja rozesłała za nim listy gończe. Sprowadzony lekarz stwierdził śmierć sołtysa Jareckiego wskutek pęknięcia czaszki i uszkodzenia mózgu. Ciężko rannego zaś Gorzędowskiego przewieziono do szpitala.

Ofiary Wisły. Na Wiśle w Warszawie wydarzyły się dwa tragiczne wypadki. Mianowicie na plaży powyżej mostu Poniatowskiego w miejscu niedozwolonem kąpała się jakaś dziewczynka, która natrafiwszy na głębię zaczęła tonąć. Na ratunek pospieszył 16-letni uczeń gimnazjalny, Olgierd Huczorowicz, któremu dało się chwycić tonącą dziewczynkę za włosy. Zaczął ją ciągnąć ku brzegowi, lecz powoli tracił siły. Ostatnim wysiłkiem wepchnął dziewczynkę na płytkie wody, nie starczyło mu jednak sił na wydostanie się z wiru i zniknął pod wodą. Dopiero po kilku minutach zdołano wydobyć jego ciało. Wszelkie środki ratunkowe pozostały bez rezultatu. Zwłoki bohaterskiego chłopca przewieziono do rodziców. — Podobny wypadek wydarzył się na Wiśle koło Żoliborza. W miejscu tem kąpał się 19 letni chłopak, który zaczął tonąć. Na ratunek pospieszył mu bezrobotny Zdzisław Kozłowski. Zdołał wyratować chłopca, jednak sam poszedł na dno.

Handlarze żywym towarem. Policja warszawska wykryła w domu przy ul. Ciepłej 4, zakonspirowany dom schadzek, prowadzony przez znanego policji przestępcę Abrahama Gutszwinda. W małem mieszkaniu znaleziono ukryte w podłodze przejście do piwnic, w których za ciężkiemi drzwiami, obitemi wojłokiem, ukryty był salonik i seperatki. Do tego domu schadzek zwabiano młode dziewczęta, które padały ofiarą handlu żywym towarem. Niektóre z nich wywożono za granicę. W przestępczym procederze brała również udział niejaka Ruchla Usyczyn, która wciągała młode, niedoświadczone dziewczęta do domu rozpusty. W toku dochodzeń ustalono, że jedna z ofiar handlarzy, Janina Kozakówna, zmarła przed kilku tygodniami w szpitalu. Podobno została ona otruta przez jednego z sutenerów. Była niebezpieczna dla swych prześladowców, gdyż zbyt wiele znała tajemnic. Gutszwinda i Ruchlę Usyczyn osadzono w więzieniu. W najbliższym czasie ma być dokonana ekshumacja zwłok Kozakówny, celem stwierdzenia, czy istotnie zmarła ona od trucizny.

Tajemnicza dziewczynka. Z Katowic donoszą: W małej wiosce śląskiej mieszka rodzina niemiecka Raschków. Ojciec, matka i pięcioro dzieci. Jednem z owych dzieci jest 9-letnia Greta; dziewczynka nie odróżniała się dotychczas niczem od innych dzieci, ale oto pewnego październikowego dnia usłyszano obok niej jakieś tajemnicze pukanie. Od tej chwili gdziekolwiek się dziewczynka ruszyła, szło za nią owo tajemnicze pukanie, wydobywające się jakgdyby z pod jej stóp. Kiedy mała leży w łóżku, pukanie wychodzi jakgdyby z pod łóżka, kiedy stuknie w ścianę, odpowiada jej cała gama stukań. Rodzice, przerażeni tem niewytłumaczonem zjawiskiem, próbowali już wszelkich środków. Wysłali małą Gretę z domu do dziadków, ale to nic nie pomogło, pukanie poszło za nią. Raschkowie nie są przesądni. Postanowili więc wyjaśnić całą sprawę na trzeźwo. Sprowadzili do swego domu władze miejscowe, oraz lekarza. Robiono cały szereg prób i doświadczeń. Dziewczynkę położono na płaszczach gumowych, stół i łóżko zaopatrzono w gumowe kółka Nic nie pomogło. Stukanie rozlegało się z tą samą, co przedtem siłą. Ktoś rzucił myśl, że to może poprostu szczury hałasują pod podłogą. Oderwano więc deski z podłogi; szczurów nie było, a pukanie, dopóki dziewczynka była w pokoju, nie ustawało ani na chwilę. Wreszcie zjawił się w domu Raschków specjalista od wynajdywania zapomocą magicznej różdżki źródeł studni i oświadczył, że pod domem Raschków znajduje się podziemne źródło albo pokłady miedzi i że dziecko reaguje na nie tak, jak różdżka magiczna. Zjawisko to miałoby więc związek z magnetyzmem. Ale z poglądem tym sprzeczny jest fakt, iż pukanie idzie za Gretą wszędzie, gdzie się ruszy, nawet poza granice domu.

Zazdrosny ojciec. Wśród mieszkańców Wojsławic, przedmieścia Królewskiej Huty, krążyły od dłuższego czasu pogłoski o niesłychanym wprost wypadku. Jerzy Scholz, 60-letni wdowiec, jest ojcem znanej z urody 21-letniej Izygardy, którą przed sześciu laty umieścił rzekomo w pewnym klasztorze w Niemczech. Sąsiedzi jednak nie dawali temu wiary i przypuszczenia ich okazały się słuszne. Zawiadomiona o podejrzeniach policja dokonała rewizji w zabudowaniach Scholza i w jednej z komórek znaleziono rzeczywiście jego córkę. Z zeznań jej wynika, że ojciec był o nią tak dalece zazdrosny, iż, obawiając się, by nie wyszła zamąż, zamykał ją na dzień w komórce, zaś w nocy przeprowadzał ją do mieszkania, które również szczelnie zamykał. Zagroził jej śmiercią na wypadek ucieczki. Policja aresztowała zazdrosnego ojca.

Wstrząsająca tragedja rozegrała się w Poznaniu, mianowicie 62-letni Ćwikliński oraz 54-letnia jego żona popełnili wspólne samobójstwo przez zatrucie się gazem świetlnym. Powodem strasznego czynu było to, że Ćwikliński miał być oddany do domu starców. Małżonkowie nie mogli przeżyć rozstania się.

Niebezpieczna włamywaczka. Z Chojnic donoszą: Sąd okręgowy w Chojnicach rozpatrywał ciekawą sprawę karną policjanta Grzbieta z Sremu, woj. poznańskiego. W październiku ubiegłego roku uciekła mu niebezpieczna włamywaczka, niejaka Pawlakowa, którą Grzbiet sprowadził na rozprawę do Chojnic. Sprawa przedstawia się następująco: W październiku ub. roku odbywała się w Chojnicach rozprawa przeciwko groźnej i niebezpiecznej włamywaczce Pawlakowej. Siedziała ona wówczas w więzieniu w Sremie i została przez posterunkowego Grzbieta doprowadzona do Chojnic. Policjant sprowadził ją na wyznaczoną godzinę na salę rozpraw. Pawlakowa jednak, korzystając z nieuwagi policjanta, zbiegła z sali rozpraw. Aby zaś utrudnić pościg, zamknęła salę rozpraw na klucz, zamykając w niej sędziego, prokuratora i protokolanta. Po pewnym czasie udało się ją znowu aresztować i osadzić w więzieniu lecz już następnego dnia Pawlakowa ponownie zbiegła. Sąd w Chojnicach uwolnił oskarżonego Grzbieta od winy i kary, gdyż uznał Pawlakową za wielce niebezpieczną uciekinierkę, wobec której zwykła ostrożność i środki zapobiegawcze ucieczce zawodzą.

Klęska much. Szczególna plaga nawiedziła miejscowość Trebitsch w dolinie Noteci w Niemczech. Ukazały się tam olbrzymie ilości much, t. zw. jednodniowych, które leżą miejscami w warstwach prawie metrowej grubości i rozkładając się, zatruwają powietrze. W Noteci nie można się kąpać, takie masy nieżywych much pływają po wodzie. Wskazówki zegara wieżowego kilkakrotnie musiano oczyszczać z much.

Żywcem pogrzebani grają w karty. W kopalniach w Horun-Vasme koło Mons w Belgji zostało zasypanych 6 robotników w sztolni wskutek wstrząsu ziemi. Pogotowie ratownicze rozpoczęło z gorączkowym pośpiechem pracę nad oswobodzeniem ich z ciężkiej opresji. Pomimo swojego naprawdę tragicznego położenia byli zasypani dobrej myśli i trzymali się dzielnie. Czekali z wielką cierpliwością na ratunek i nie poddawali się rozpaczy. Jeden z członków pogotowia ratunkowego opuścił się na linie w głąb szybu i rozmawiał z odciętymi od świata towarzyszami. Udało mu się nawet zrzucić im przez wąską szczelinę środki żywności. Ale oni prosili przedewszystkiem o karty do grania, aby im prędzej czas schodził. Jeden z tych robotników posłał nawet tą drogą linową swojej żonie kartkę z zawiadomieniem, że przegrał wszystkie pieniądze w karty, ale ma nadzieję odegrać się, zanim odkopią ich z pod ziemi. Czy tak się stało, nie wiadomo, bo uratowani nie opowiadali o wynikach gry.

Zażarta walka z rekinem. U brzegów angielskich zawitał rzadki i przynajmniej niepożądany gość: olbrzymich rozmiarów rekin, który ukazał się około zatoki Ardmore. Niezwłocznie uzbrojono w odpowiednie przybory 6 statków rybackich, które otoczyły potwora i zaczęły z nim walkę na śmierć i życie, w odległości około 2 mil angielskich. Rekin trafiony kilkunastu kulami miotał się w paroksyzmie bólu i wściekłości i wreszcie rzucił się w kierunku swych dręczycieli. Olbrzymią rybę, zaplątaną w sieci, przyciągnięto do przystani w Ardmore, ale rekin ogonem poprzerywał część sieci i połamał pale, podtrzymujące przystań. Znów zaczęto do niego strzelać z karabinów maszynowych, co jednak nie zdawało się wywierać na niego żadnego wpływu. Dopiero podczas odpływu morza, gdy olbrzym został na suchym lądzie, pozbawiony wody, dokończono go siekierami, w czem cała wieś brała udział. Szkody, jakie wyrządził ten potwór morski, wynoszą około 6 tysięcy złotych.

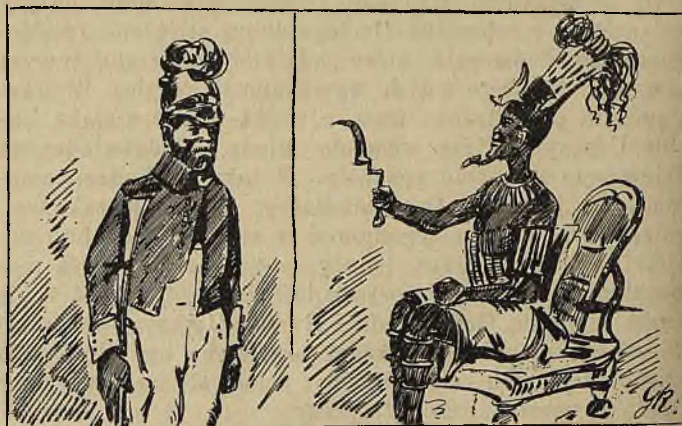
Cudowne wyzdrowienie kaleki. Gazety londyńskie donoszą o niezwykłym wypadku wyzdrowienia kaleki. Oto jeden z żołnierzy angielskich, Benjamin Durston, doznał podczas wojny skutkiem eksplozji granatu niemieckiego tak ciężkiego wstrząsu nerwowego, iż stracił nagle wzrok, słuch i mowę. Nieszczęśliwy ten ślepiec i głuchoniemy żył odtąd przez 12 lat w Tinsley w pożałowania godnym stanie. Onegdaj inwalida ten spadł przypadkiem ze schodów, przyczem doznał złamania ręki. Gdy z trudem największym podniósł się z ziemi, przekonał się ku wielkiemu swemu zdumieniu i radości, iż raptownie, skutkiem tego upadku odzyskał wzrok, słuch i mowę. Wypadki podobne zdarzały się już w czasie wojny. Są to wypadki, wywołane nagłym, gwałtownym wstrząsem nerwowym, zaliczanym przez medycynę do wstrząsów histerycznych. W takich wypadkach zdarza się, że powtórny silny wstrząs nerwowy doprowadza do samoistnego, natychmiastowego wyleczenia.

Elektryczna panika. Półwysep Guerande, położony na rzece Loire we Francji w pobliżu jej ujścia, nawiedził niezwykły wypadek. Wczesnym rankiem w niedzielę nad półwyspem przeciągnęła silna burza. Prawdopodobnie na skutek tej burzy w instalacji elektrycznej coś się zepsuło i w całej okolicy następowały krótkie spięcia. Na szosie panował trzask iskier elektrycznych; z drutów przydrożnych wydobywały się z sykiem płomyki. Gdy rozpoczęło się nabożeństwo w kościele wioski Tresolan, nagle ołtarz stanął w płomieniach. Wierni w popłochu uciekli. Jednocześnie we wszystkich domach okolicznych wydarzyły się wypadki. W jednym domu wieśniak wyskoczył z łóżka na wilgotną podłogę i padł jak rażony piorunem. W innym znowu domu gospodarz, chcąc słuchać radja, dotknął kontaktu i poparzył się boleśnie. Władze sprowadziły specjalistów-techników, którzy zajęli się zlikwidowaniem elektrycznej paniki.

Aresztowanie włoskiej adwokatki. Z Medjolanu donoszą o aresztowaniu adwokatki pani Lidji Moor, która, choć liczy dopiero lat 33, posiada dwa doktoraty, a to praw i filozofji, przyczem należy do najbardziej znanych członków medjolańskiego społeczeństwa. Jej specjalnością jako adwokatki było zastępstwo w procesach o odszkodowanie z powodu nieszczęśliwego wypadku. Śledztwo prowadzone na podstawie rozlicznych zażaleń, jakie wpłynęły do prokuratorji, wykazało, że pani Lidja Moor zdefraudowała kaucje swoich klientów i ponaciągała z nich wielu na poważne sumy, jakie otrzymali w procesie o odszkodowanie. Młoda ta adwokatka jest niezwykle piękną kobietą. Jej toalety zwracały powszechną uwagę. Żyła też na szeroką skalę i lubiła się bawić. Przed trzema laty rozwiodła się z mężem, który jest adwokatem.

Deszcz czerwonych robaków. Niezwykłe zjawisko przyrody zdarzyło się onegdaj w okolicy pomiędzy Sztokholmem a Karlbergiem. Rano o godzinie 7 spadł gwałtowny deszcz. Razem z nim pojawiło się na powierzchni ziemi miljony czerwonych robaczków, podobnych do dżdżownic. Około południa zjawisko to powtórzyło się ale jeszcze silniej. Szwedzcy metereologowie sądzą, że chodzi tutaj o wypadek porwania tych zwierzątek przez orkan, który uniósł je w powietrze, przetransportował na tak wielką odległość, poczem robaki te mogły opaść razem z deszczem. Zagadką jest tylko, w jaki sposób tak wielka ilość robaków mogła się znaleźć w jednem miejscu.

Dzicy monarchowie. Pisaliśmy już o różnych półdzikich plemionach i ich władcach w Azji i Afryce.



Dzisiaj podajemy obrazek przedstawiający w postawie stojącej, w mundurze, władcę jednego ze szczepów środkowej Afryki, zaś postać siedzącą, w hełmie z wysokim pękiem piór, to król pewnego szczepu w południowej Afryce.

Nowy rodzaj kary. Zupełnie nowy rodzaj kary wymierzył po raz pierwszy w nowoczesnem sądownictwie sędzia stanu St. Paulo, Howard Wheeler. Skazał on 23 letniego Ottona Juckel'a na „codzienne znajdowanie się w łóżku już o godz. 10 tej wieczorem". Tak zachowywać się musi przez lat pięć. A jeżeli raz o godzinie 10 nie położy się do łóżka, w takim razie pójdzie do więzienia na pięć lat. Kara ta została nałożona na niego, gdyż dowiedziano się, że w ostatnich czasach okradał systematycznie późną nocą składy spożywcze.

RZECZY CIEKAWE.

Sześcioraczki... siedmioraczki.

Wedle czysto teoretycznych obliczeń, para bliźniaków wypada przeciętnie na 80 normalnych urodzin.

Trojaczki rodzą się przeciętnie, raz na 6.400 normalnych urodzin.

Czworaczki rodzą się raz na 512.000 normalnych urodzin.

Piątaki — raz na 41 miljardów urodzin.

Przeciętnie, już bliźniaki przychodzą na świat słabo rozwinięte, trojaki są jeszcze gorzej rozwinięte. Także i pod względem wagi, dzieci takie są upośledzone. Charakterystyczne jest, że są one mniej odporne, niż dzieci normalne, na choroby.

W ciągu pierwszych 5 lat od urodzenia, połowa bliźniaków wymiera. Trojaczki bywają wyjątkowo tylko zdolne do życia. Czworaczki jeszcze mniej.

O piątaczkach wspomina literatura naukowo-fachowa w ciągu wieków tylko 27 razy. Te, żyją najwyżej po kilka godzin.

Sześcioro dzieci urodzonych z jednej matki i równocześnie, notuje medycyna dwa tylko razy. Oba, zostały wiarygodnie stwierdzone. Pierwszy, wydarzył się w roku 1888 nad jeziorem Lugano i później jakiejś murzynce z afrykańskiego Złotego Wybrzeża.

Siedmioro dzieci urodziło się tylko raz, w roku 1600 niejakiej Romer w Hameln, w Niemczech. Matka zmarła przy porodzie, dzieci oczywiście również poginęły. Fakt ten został wówczas upamiętniony specjalną tablicą rzeźbioną płasko, umieszczoną na frontonie domu, w którym to się wydarzyło.

Muzykalny kot.

Ze zwierząt domowych najbardziej powściągliwym względem człowieka jest niewątpliwie kot. — Szary, czy bury, łowca myszy, czy też zabawka w rękach pani domu, nie okazuje prawie żadnych innych uczuć, prócz wypływających z jego egoistycznych potrzeb, nie fatyguje się też nigdy, aby pokazać swe zainteresowanie lub reakcję na otaczające zjawiska i zdarzenia poza ścisłym kręgiem jego własnego świata. Swego rodzaju unikatem był kot pewnego przyrodnika, kot wrażliwy na muzykę. Gdy pan jego zasiadał do fortepianu, kot natychmiast przybiegał, sadowił się w wygodnem miejscu i z godną prawdziwego melomana cierpliwością słuchał godzinami.

Kiedyś kot ów znikł. Dopiero w osiem miesięcy później odnalazł się przypadkiem, ale był tak zdziczały, iż nie pozwolił nikomu do siebie podejść. — Wówczas pan jego wpadł na pomysł, aby wzbudzić w kocie wspomnienia zapomocą gry na fortepianie Rzeczywiście, usłyszawszy znane melodje, kot zbliżył się do swego pana i wskoczył mu na kolana. Od tej chwili wszystko ułożyło się po dawnemu.

Cechy ludzkie u małp.

Darwin dowodził, że zwierzęta reagują na rozgrywające się około nich zdarzenia temi lub innemi poruszeniami muskułów fizjognomji i części ciała. Obecnie ustalono zupełnie definitywnie, że zwierzęta, które budową swego ciała i rozwojem mózgu, najbardziej są zbliżone do człowieka, przeżywają różnego rodzaju stany duchowe, co wyraźnie uzewnętrznia się w rozmaitych grymasach i ruchach ciała.

Jeśli zaczniemy szympansa łaskotać, to usta jego rozciągają się wszerz, widoczne stają się zęby i ma on wówczas wyraźnie śmiejący się wyraz twarzy. — Szympans bardzo często w takich wypadkach odrzuca głowę w tył — jak gdyby w silnym paroksyźmie śmiechu.

Jeśli szympans jest zdziwiony lub czemkolwiek nieoczekiwanie oszołomiony — otwiera on usta nie wszerz, lecz wzdłuż. Patrzy on wówczas na przedmiot, który wprowadził go w zdumienie, z otwartemi ustami i wówczas wygląda jak zdumiony lub oszołomiony człowiek.

W stanie zamyślenia muskuły szympansa częściowo naprężają się i najbardziej charakterystycznym jest szczegół, że jego warga dolna zwisa, jak u zniedołężniałego starca.

Mówiąc o „zamyśleniu" się małpy, możemy zaznaczyć, że zdołano ustalić z całą dokładnością, że szympans jest zdolny do zamyślania się i nawet do myślenia, lecz oczywiście do pewnego stopnia. Może on myśleć godzinami, nic jednak oczywiście nie wymyśli.

Średniowieczne zarobki.

W klasztorze Augustynów, w okolicach Norymbergji, odnaleziono zapiski rachunkowe, zawierające ciekawe dane o wysokości zarobków rzemieślniczych w średniowieczu np. w XV wieku. A więc snycerz Hans Beer, otrzymywał za pracę przy budowie kościoła 28 fenigów dziennie i prócz tego 4 fenigi tygodniowo na kąpiel. Jego pomocnicy otrzymywali po 18 fenigów dziennie i 3 fenigi na kąpiel. Murarz otrzymywał 16, stolarz 26 fenigów dziennie. Dekarze zarabiali po 28 fenigów dziennie, pomocnicy ich po 20 fenigów, chłopcy do posług zaś po 18 fenigów. Poza płacą w gotówce rzemieślnicy pracujący przy budowie otrzymywali raz na tydzień w poniedziałek posiłek, składający się ze smalcu, jaj, chleba, sera, garnka zupy, oraz ćwiartki piwa lub wina. Płace zarobkowe, jak twierdzą historycy, były zupełnie wystarczające, gdyż żywność była wówczas bardzo tania.

Nietłukące się szkło?

Na pytanie: kto wynalazł szkło? — nie możemy dotychczas dać odpowiedzi. Zabytki prawie wszystkich części świata dowodzą, że sztuka wyrabiania szkła znana była kulturalnym ludom w starożytności.

Flavius Josephus jest zdania, że wynalazcami byli Żydzi. Wersja ta utrzymała się aż do średniowiecza, gdyż rzeczywiście Żydzi byli najlepszymi hutnikami. Plinius natomiast twierdzi, że szkło wynaleźli Fenicjanie.

Twierdzenia te jednak są gołosłowne, gdyż już Chińczycy i Egipcjanie posługiwali się szkłem. Wskazują na to odkopane dzieła sztuki i przedmioty pierwszej potrzeby w Egipcie. Wyroby zaś ze szkła znalezione w Beni Hasan są wykonane nadzwyczaj kunsztownie, co dowodzi, że sztuka wyrabiania szkła była znana już w 16 wieku przed Chrystusem.

Wynalezienie przed kilku laty w Czechosłowacji nietłukącego się szkła było, a nawet jest po dziś dzień nielada sensacją. Był to wynalazek rzeczywiście zasługujący na uznanie. Niestety, jak się później przekonano, odkrycie to było powtórzone. O podobnem bowiem szkle piszą już stare kroniki.

W raporcie mianowicie przesłanym przez Ibu

Abd Akhoma do Al Mamuna, następcy kalifa Harun al Raszyda o wynikach poszukiwań w staroegipskiej piramidzie, czytamy: „W zachodniej piramidzie znaleziono 30 skarbów napełnionych kosztownemi kamieniami, narzędziami... jak szkłem, które można wyginać. — Jest ono nietłukące się“.

O takiem szkle wspominają też Plinius i Cassius w swoich zapiskach. Ulubieniec cesarza Nerona, Petronius, opisuje w „uczcie Trimalchfa“ biesiadę, podczas której jeden z gości rzucił o ziemię, celem próby, kielichem. Szkło ani nie prysło.

Późniejszy pisarz rzymski Neri, wspominając o szkle, zaznacza: za czasów Tyberjusza znano szkło giętkie i trudne do stłuczenia. Obecnie jednak nigdzie nie można go nabyć, mimo, że ofiarują ceny wyższe od złota i srebra.

Inna wersja podaje, że pewnemu architektowi, który wynalazł to szkło, Tyberjusz przywrócił wolność, lecz wkrótce kazał go stracić, by przez spopularyzowanie tego wynalazku nie spadły ceny złota i srebra.

Nad wytworzeniem takiego szkła głowili się podobno w średniowieczu nawet alchemicy.

Dziś już takie szkło wyrabiamy, jest ono jednak innego rodzaju. Dawna tajemnica zaginęła, tak jak wiele, wiele innych.

Omyłka druku. W części poprzedniego numeru mylnie wydrukowano na str. 5, druga szpalta, wiersz 25. Ma brzmieć: „z górnikami olkuskiemi. Hołubek zachowywał się“.

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Marja Waller** w Rz.: Uwagi przeczytałem z wielkiem zainteresowaniem. Choć nie mam zbyt wiele czasu, ale listy mądre, choćby były najdłuższe, czytam z wielką przyjemnością. A do takich Pani list należy. Owszem, niech Pani pisze często i dużo. Dalszy ciąg powieści otrzymałem, a na dokończenie czekam z niecierpliwością. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: O, widzi Pan; teraz zupełnie zastosował się Pan do naszego życzenia. Artykuliki są bardzo dobre i stosownie do swej treści mogą być zużytkowane, jako wstępne, w Rzeczach ciekawych itp. A teraz wyjaśnienie, dlaczego jestem przeciwnikiem cyklu. Oto już dwie powieści są niejako cyklem, jak również „Podróż po dalekich krajach“, a częściowo i Maciek. Gdyby więcej ich zaprowadzić, „Rola“ stałaby się zbyt jednostajna, a tego musimy unikać. — **Wł. Sowiźrał** w J.: Wiersz posiada pewne usterki, które przeszkadzają, aby był drukowany. Nie można mówić: „Gdy sen zimowy ustąpił z ich oczy“, gdyż tu jest błąd gramatyczny, jak również nie można rymować słów: „nutę-rotę“, gdyż słowa te nie rymują się. — **Stanisław Jucha** w K.: „Dla miłości“ napisane barwnie i zajmująco; zachowujemy do druku. — **Edward Cygan** w J.: Z powodu braku czasu, gdyż utwór nadszedł przed samem zamknięciem niniejszego numeru, nie zdążyliśmy go w całości przeczytać. Sądząc jednak z początku, będzie on się nadawał zupełnie do „Roli“. Decydującą odpowiedź damy w następnym numerze. — **Jan Kawalec** w M.: Rozumiemy dobrze, co to jest bieda i wierzymy Panu, że nawet na tak małą kwotę, jak prenumerata kwartalna, trudno sę zdobyć. Ale kto chce, to jakoś tam połata i te parę groszy uciuła, a ma potem przez całe trzy miesiące miłą rozrywkę. Dobrze więc Pan zrobił zaprzestając palenia papierosów, bo to i zdrowiej, a przesyłając te pieniądze na gazetkę. Gdyby więcej takich było, oświata szerzyłaby się po całej Polsce tak, jak się szerzyć powinna. Łączymy uprzejme pozdrowienia. — **Jan Glebowicz** w L.: „Rolę“ wysyłamy we czwartki, a jeżeli doręczają po niedzieli, to przez przetrzymywanie. Niech Pan upomni tego, który Panu doręcza, bo poczta do gminy wydaje regularnie. Wypożyczanie „Roli“ niech Pan ograniczy, bo są w gminie zamożniejsi, którzy mogą prenumerować, by mieli swoją „Rolę“. Za miłe słowa uznania dla „Roli“ dziękujemy. Rozwiązanie zagadek niezupełne.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z Rz.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Stolica europejska.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dom.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Konik.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Rosji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ustawa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzemieślnik.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie (zdrob.).
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj gleby.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Łuski zbożowe.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ścięte drzewo.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie (zdrob.).
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Mieszkaniec Zaporoża.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ziemia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Artykuł spożywczy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Silny wiatr.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przedmiot naukowy.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanego pisarza polskiego.

2. Zagadki.

(Ułożył Marjan Wietrzny z L.).

I.

Wprzód dostaniesz w każdej trafice,
Wspak wdziewasz, gdy wychodzisz na ulice.

II.

Wprzód nazwa stylu architektonicznego,
Wspak inaczej okręt albo arka Noego.

3. Układanki.

(Ułożył Henryk Górecki z T.).

Układanki dadzą imiona czytelniczek i czytelników „Roli“.

1. Ptak + spółgłoska fonetycznie = ?
2. Słowo pożegnania + samogłoska + sznur = ?
3. Zaimek + Bóg w obcym języku + spółgłoska = ?
4) Mieszkanie owadów wspak + metal?
5. Spółgł. + opiekun rodziny + spółgłoska = ?
6. Spółgłoska + miara pow. + zaimek?
7. Nuta + grecka litera + zaimek = ?

4. Układanka historyczna.

(Ułożył S. Wachtel z T.).

Jagiełło, Jadwiga, Czarepcki, Mieszko, Olbracht, Batory, Wiśniowiecki, Wierzynek, Kościuszko, Żółkiewski, Piast.

Z każdej z powyższych nazw historycznych wyjąć po jednej literze, a z liter otrzymanych ułożyć imię i nazwisko sławnego króla polskiego.

5. Łamigłówka trójkątna.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Szukany wyraz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Bibuła.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Czas.
■ ☆ ☆ Rzeka syberyj.
■ ☆ Skala głosu.
■ Samogłoska.

Początkowe litery pionowo i poziomo dadzą nazwę miejscowości, słynnej z wielkiej porażki Niemców.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 19 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 22 „Roli“: 1. Konikówka: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi“. 2. Zagadki: I. Lin-Nil. II. Tort-trot. III. Kara-arak. IV. Nos-sok. 3. Zagadka rachunkowa: Kurcząt było 84, kaczek 11, gęsi 4. Przestawianki: I. Nie brataj się z dworem, bo przepłacisz worem. II. Módl się pod figurą, a diabła ma za skórą. 5. Logogryf: Jan Długosz.

W oznaczonym czasie dobrego rozwiązania nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Straszne skutki alkoholu.

— Rzeczywiście, alkohol jest bardzo niebezpieczny; zawsze ile razy się upiję, mam ochotę się żenić.



Chwyci — nie chwyci.

Dwaj oszuści przyszli do składu ubrań po kupno. Jeden udawał hrabiego, drugi lokaja.

Gdy hrabia wybrał najdroższe palto, przywdział go i pyta się lokaja, czy mu w nim do twarzy.

— Pasuje jaśnie wielmożnemu panu hrabiemu — rzecze lokaj — jak małpie.

— A ty łotrze — krzyknie hrabia na lokaja i ryp go w pysk. Zamierzył się drugi raz na lokaja, a ten w nogi. Hrabia za lokajem — goni go.

Żyd z żydówką patrzą, jak się gonią ulicą.

— Chwyci go!

— Nie chwyci!

— Chwyci!

— Nie chwyci!

— Chwyci!

I uciekli oszuści z niezapłaconym paltotem.



Miłość bliźniego.

— Cóżto sąsiad taki wesoły? Czy zboża się poprawiły?

— Nie, ale u sąsiadów grad wszystko wybił ze szczętem.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 9 czerwca b. r.

Pszenica	33·50—34 00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	29·00—29·50	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	34·00—35·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	45·50—46·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	56·00—58·00
Siano słodk.	14·00—15·00	Otręby pszen.	19·50—20·00
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	20·50—21·00
Koniczpastew.	18·00—20·00	Mąka czerw.	25·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 9 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 1·05 do 1·14 zł.	Jałownik	od 1·07 do 1·18 zł.
Woły . .	od 1·10 do 1·22 zł.	Cielęta .	od 1·10 do 1·26 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·04 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·22 do 1·34 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·65 do 1.70